ZŁOTY RÓG
ILUSTROWANY TYGODNIK LITERACKI ARTYSTYCZNY I SPOŁECZNY
REDAKCJA i ADMINISTRACJA WARSZAWA UL. KRÓLEWSKA 27 TEL. 152-05.
№ 20
WARSZAWA DNIA 18 MAJA 1913 R.

W pierwszą rocznicę zgonu Bolesława Prusa.

Rok już upłynął od chwili gdy wielkie, kochające serce Prusa przestało bić na zawsze, a ostrze śmierci nieubłaganej przecięło pasmo twórczych Jego myśli... I odszedł od nas wielki duch uwielbianego pisarza, odszedł 19 maja — w miesiącu młodości, i budzącego się życia...

A kiedy dzwony obwieściły żałobę, wszystkie polskie serca silnym bólem wezbrały a myśli jak gołębice przypadły do trumny, kryjącej drogie szczątki.

Dziś, w rocznicę zgonu, pochylając czoła, klękamy przy mogile tego, który świętym nakazem swym wzywał, byśmy wytrwale stali na *placówce* a w pracy zbożnej czerpali moc i szczęście życia.

„Ziemia, człowiek prosty i Bóg“ — oto jego przykazanie, które nam w królewskim swym testamencie pozostawił. Przy ziemi u podstaw pragnął wielki myśliciel byśmy wytrwale pracowali, duchem wznosząc się wzwyż...

I nie był jego utylitaryzm zaprzeczeniem sztuki. Nie, Prus nadewszystko miłował piękno, lecz czuł, że tylko człowiek niestroskany w walce o byt, zdrowy i czysty może należycie, silnie i z pełnem oddaniem się, hołdować Sztuce i sięgać po jej słoneczne promienie, jaśniejące u szczytów.

W pracy widział Prus odrodzenie narodu i gorzką nieraz prawdę wypowiadał, nietylko karcąc, lecz i wskazując jak złe naprawić lub jak go uniknąć i jak pracować z korzyścią dla społeczeństwa.

Pragnąc uzdrowić człowieka i myśl jego, pragnął i wzmocnienia jego woli, rozumiał bowiem, że silna wola jest jednym z najpotężniejszych nieodzownych czynników do urzeczywistnienia pragnień i ideałów ludzkich.



BOLESŁAW PRUS, († 19 maja 1912 r.)
Płaskorzeźba Czesława Makowskiego.

Niezmordowany, niósł swój sztandar wytrwale przed narodem a kiedy nam pracowitego przewodnika nie stało, widzimy dziś j e s z c z e jaśniejące drzewce jego chorągwi, oparte silnie o pierś życiodajną ziemicy - matki, zaś drugim końcem połyskujące promieńmi krzyża wśród błękitnych przestrzeni... I szumi chorągiew a szept jakiś płynie do serc naszych i—zda się— wlewa w nas moc, odwagę, tężyznę ducha, i — błogosławi do czynu.

Odszedł genjalny pisarz i wielki obywatel a słowo jego żyje w narodzie i jest wszędzie— gdzie miłość i praca.

W. Z.

W setną rocznicę urodzin Wagnera.

Sto lat upłynęło od chwili, gdy ujrzał światło dzienne wielki muzyk-poeta i myśliciel-dramaturg, przyszła gwiazda o niezrównym blasku, o nowej nieznanej orbicie, zakreślonej w potężnym samoistnym biegu... Sto lat upływa dziś od narodzin Ryszarda Wagnera.

Genialny artysta urodził się 22 maja 1813 roku w Lipsku—w pół roku później



RYSZARD WAGNER.
(Ur. 1813 — zm. 1883).

stracił ojca, matka zaś wyszła powtórnie za mąż za aktora i malarza a nawet poniekąd i autora dramatycznego Ludwika Geyera, który z iście ojcowską toskliwością zajął się wychowaniem pasierba. Rodzina cała przeniosła się wówczas z Lipska do Drezna, tam też dziecięctwo swe spędził mały Ryszard, pierwsze wychowanie odbierając pod okiem dobrego ojczyma, który może najlepiej przeczuwał wówczas talent przyszłego twórcy *Niebelungów*. Lecz, niestety, dobry wychowawca umarł, gdy Ryszard miał zaledwie lat siedem, a ci którzy dalej zajęli się kształceniem dziecka, nie umieli jakoś odnaleźć w niem tych skarbów, które głęboko w tej duszy artystycznej były schowane.

Głównie, na nieuznanie przez nauczycieli talentu Wagnera—wpływało, że młodociany uczeń nie znosił etiud i wogóle wszelkich środków zdążających przedewszystkiem do pozyskania techniki—nie interesowała go bowiem forma zewnętrzna lecz jedynie i tylko istota wewnętrzna i głębia treści muzyki.

W Dreznie uczęszczał już Wagner do gimnazjum, gdy po śmierci Geyera, warunki zmusiły rodzinę do powrotu do Lipska. Zniechęciwszy się ostatecznie do nauki oddał się w Lipsku niemal wyłącznie muzyce.

Z ówczesnych muzyków najsilniej do duszy młodzieńca przemówił Bethowen, którego wpływ widoczny przejawia się nawet w pierwszych dziełach Wagnera a szczególniej w jego symfonji, która nawet zyskała względne powodzenie.

W latach pierwszej swej młodości był jednak Wagner niezdecydowanym i chociaż studjował muzykę—jednak wciąż odrywał się od niej—to pisząc wiersze, to tłumacząc Homera, to znów tworząc dramaty i tragedje a nawet około r. 1830 i publicystyczne oraz polityczne artykuły wychodziły z pod jego pióra.

Twórczość Bethowena jak również pozyskanie wreszcie dobrego profesora muzyki w osobie Weilinga, który umiejętnem, nie narzucającem szablonu kierownictwem, umiał jakoś oddziałać na swego ucznia, zapoznać go i zainteresować zasadami muzyki, ostatecznie wywierają wpływ decydujący, odtąd też Wagner, oddaje się już wyłącznie kompozycjom muzycznym, pisze polonezy, sonety, uwerturę i symfonję—te ostatnie wykonywane nawet z powodzeniem na koncertach w r. 1833.

W r. 1834 młody kompozytor został powołany na dyrektora opery w Magdeburgu później w Królewcu, gdzie się ożenił, skąd—do Rygi-jako dyrygient orkiestry wyjechał. Tam w r. 1838 rozpoczął komponować operę „Rienzi“, ale i w Rydze pobyt jego nie był długotrwały. Z Rygi przez Londyn udał się do Paryża; pośród trosk, kłopotów i niedostatku w r. 1841 dokończył „Rienzi“ i skomponował w 7 tygodni „Latającego Holendra“, do którego natchnęła go podczas podróży wielka burza morska. Partycję „Rienzi“ posłał do drezdeńskiego nadwornego teatru, zaś partycję „Latającego Holendra“ do Berlina, do Meyerbera, z którym się był zapoznał w Londynie. Obie opery przyjęto

Na pierwsze przedstawienie „Rienzi" pojechał w początkach 1842 r. do Drezna, a uznanie z jakiem przyjęto operę, położyło kres jego ciężkiemu położeniu materjalnemu, warunki zaś zmieniły się w końcu zupełnie na dobre, gdy został powołany na kapelmistrza przy dworze saskim.

Nie tak przychylne przyjęcie zyskała opera „Latający Holender", w której widocznie już wyzwala się Wagner z pod wpływów opery włoskiej. To też tam, gdzie odrzuca teorję, żądającą by muzyka była celem opery, a główny nacisk kładzie na myśl i wyraz dramatyczny, staje się dla ówczesnych niezrozumiałym, w tem bowiem jego indywidualności należycie nie odczuto i nie oceniono.

Najpotężniejszy jednak okres twórczości rozpoczyna Wagner operami *Tannhäuserem* i *Lohengrinem*. Tu już wyzwala się najzupełniej z pod wpływów obcych i przemawia tem silnem napięciem dramatycznem i tą *nieskończoną melodją*, które cechują już wszystkie następne jego kompozycje. Wierny idei, że melodja winna znajdować się nie tylko w głosie lecz wszędzie, jak— w orkiestrze, w chórach, dekoracjach, inscenizacji w wierszu i myśli tekstu, tworzy swe dzieła pełne *melodji bez końca* a więc— pełne i doskonałej harmonji.

Nowe jednak drogi, którymi dążył Wagner, nie odrazu stawały się dostępnemi dla społeczeństwa, które też w ciągłem było z nim nieporozumieniu. To też i *Tannhäuser*, po raz pierwszy wystawiony w Dreznie, nie doznał należnego powodzenia.

Po *Tannhäuserze* pisze Wagner *Lohengrina*. Wypadki jednak r. 1848 przerywają na czas pewien jego pracę. Zaciąga się w szeregi rewolucji, co do której wierzy, że wywrze ona wpływ stanowczy na sztukę i że nietylko w urządzeniach społecznych, lecz i w dziedzinie artyzmu zapanują nowe wyzwoleńcze prądy.

Stłumienie rewolucji w Saksonji przez wojska pruskie, było początkiem blizko 12-letniej banicji Wagnera (1849 — 1861). Czas ten spędził przeważnie w Szwajcarji.

Podczas wygnania, wystawiono w Weimarze (1850) jego *Lohengrina*, który dzięki autorytetowi i poparciu Liszta, przychylniej już został przyjęty przez publiczność i krytykę.

Na wygnaniu tworzy genialny kompozytor epokowe swe dzieło, wielką teatrologję *Pierścień Niebelungów*, składające się z 4-ch części: 1) *Złoto renu*, 2) *Walkirja*, 3) *Siegfrid*, i 4) *Zmierzch Bogów*, poczem komponuje *Tristana i Izoldę*, operę opartą na tle metafizyki miłości, pisaną pod wpływem dzieł filozoficznych Szopenhauera.

Po powrocie z wygnania przerywa na pewien czas pracę twórczą a zmuszony warunkami, daje koncerty w Wiedniu, Pradze, Petersburgu, Moskwie, Wrocławiu i Peszcie.

Gdy wstąpił na tron bawarski Ludwik II, król-marzyciel i poeta, który był fanatycznym wprost czcicielem geniuszu Wagnera, osiada twórca *Niebelungów* w Monachjum, gdzie wystawiają kolejno jego *Latającego Holendra*, *Tristana*, *Lohengrina* i *Meistersingerów*, wystawa jednak *Niebelungów* wymagała specjalnej sceny.

Postanowiono zbudować nowy teatr dla trylogji Wagnerowskiej. Ludność poczęła jednak szemrać, bojąc się nadmiernych wydatków. Wagner wyjeżdża wówczas na dwa lata do Szwajcarji i powraca do Monachjum dopiero po wojnie Niemiecko-Francuskiej w 1870 r.

Wreszcie w r. 1876 doczekał się zbudowania, kosztem składek ludności, specjalnego teatru w Bayreucie, gdzie też po raz pierwszy odegrano jego teatrologję *Pierścień Niebelungów*, *Parsifala i in.*

Odtąd postępuje wielki kompozytor po drodze tryumfu i, uznany już przez swoich i obcych, umiera w 1883 roku w Wenecji a prochy jego zostają złożone na wieczny spoczynek w grobowcu w Bayreuth.

Rok bieżący jest więc nietylko setną rocznicą urodzin wielkiego



Ryszard Wagner i Matylda Wesendonck.

twórcy i reformatora muzyki, lecz i 30-letnią rocznicą jego śmierci.

W muzyce swej potężny i majestatyczny, był Wagner mistrzem-odtwórcą najgłębszych uczuć i poetą, tworzącym genjalne dzieła w swym nieporównanym stylu, charakterze i całości.

Walenty Zieliński.

LISTY Z BAŁKANU.

(Własna korespondencja „Złotego Rogu").

XI. CZY SERBJA PÓJDZIE... „NA SZWABA"?

(Jaka była polityczna orjentacja Serbji bezpośrednio po rozgromie Turków? Czy dzisiaj nie uległa zmianie? Antagonizm serbsko-bułgarski. Jaki jest stopień jego napięcia? Czy wpłynie on na stosunek Serbji do Austrji?)

Czy Serbja pójdzie przeciw Austrji?

Był czas — czas zgoła jeszcze niedawny, że walka „ze Szwabem" była jedynym celem najbliższej przyszłości serbskiego społeczeństwa, celem, który opanował był każdy nerw, każdy fibr i każde drgnienie serca gorącego narodu we wszystkich jego warstwach niezmiennie.

Było ta wnet po rozgromie Turków.

Zdawało się podówczas, że Serbja uporawszy się ostatecznie z niedobitkami osmańskiej potęgi, cały impet swej młodości, cały rozmach swej wzmożonej siły i swych utęsknionych pragnień rzuci na północ — zwróci całem ostrzem przeciw Austrji, przeciw ostatniemu, jedynemu dziś zaborcy swych ziem rodzonych.

Byłem świadkiem i najbliższym obserwatorem tych narodowych uniesień. Trzymałem rękę na pulsie i, sam niemal w gorączce, mierzyłem przyśpieszone tempo promiennych czasów patryjotycznego entuzjazmu.

Gorętsi rwali się już podówczas do walki!.. zaraz!.. bezzwłocznie!.. i z wiarą tak pełną ufności, że w jej akcencie porywającym zapomniało się o cyfrach, proporcjach, bagnetach, korpusach... i z zapałem, który się szerzył jak pożar, wierzyło się niemal niezachwianie w konieczność tryumfu—na przekór rozsądkowi i rachubom, które w chwili skupienia i matematycznych obliczeń do wręcz odmiennych prowadziły horoskopów.

„Skończymy z Turkiem i pójdziemy na Szwaba!" — oto wyznanie po tysiąc razy z ust żołnierza serbskiego zebrane, wyznanie tak proste, tak mocne i tak nieprzeparte, że w jego dźwięku pełnym przekonania i stanowczej, niemal beztroskliwej pewności siebie wszelkie chłodne rachuby, wszelakie cyfry i kombinacje szły w gruz, jak w gruz poszły niezdobyte twierdze tureckie w rozpędzie bohaterskiego zapamiętania.

Ostrożniejsi odkładali na później. „Dajcie nam wytchnąć, wypocząć po zbiórce, zagoić rany, przygotować się — dajcie kilka lat wewnętrznej pracy, a wówczas... wówczas się porachujemy! I trzeba było słyszeć ton tej zapowiedzi porachunku, twardy jak ściśnienie pięści!..

Różnica więc w masach narodu była tylko jedna podówczas: część chciała poczynać *zaraz*, gdy żołnierz był bez butów wprawdzie, ale tak w boju zaprawiony, że mu krwawa robota nie była już dziwną, że wojna nie trudem mu była ale radosnem pełnieniem narodowego obowiązku a krew i śmierć nie trwogą ale żniwem codziennej pracy — część zaś odkładała rozprawę *na później*, gdy naród na siłach się wzmoże, na zapasach i na materjale — lecz i jedni i drudzy, różniąc się w terminie, na ten sam cel się godzili, tem samem żyli pożądaniem: „Serbja pójdzie na Szwaba!"

Był taki czas... niedawny!..

Dzisiaj się rzeczy odmieniły.

Nie, by nienawiść do Austrjaka opadła. Nie! ta żyje! i żyje niezmieniona!

Jeno z głębin duszy narodu wstało uczucie dawniejsze, z chwilowej drzemki wypełzło na jaw uczucie głębsze, *jeszcze silniejsze*! wybuchła z całą swą pierwotną potęgą nienawiść — do Bułgara! odwieczna, nigdy nie wyczerpana, jak ocean głęboka nienawiść do brata!..

Charakterystyką stosunków serbsko-bułgarskich, jakoteż historją nieprzepartego antagonizmu tych dwuch narodów pobratymczych zajmę się w osobnej korespondencji.

Dzisiaj stwierdzę tylko fakt bardzo starannie obserwowany, w przelicznych dysputach, indagacjach i eksperymentach ustalony, fakt wyjęty wprost z duszy ludu, wprost z serca i mózgu warstw inteligentnych, nie podlegający dla mnie żadnym wątpliwościom—fakt, że *Serb ma tylko jednego wroga pod słońcem*, wroga prawdziwego, wrodzonego, wroga z krwi, wroga, o którym wszystkie klasy społeczeństwa mówią z najwyższą pogardą i najzaciętszą zawiścią, na wspomnienie którego wieśniak i mieszczanin, kupiec i żołnierz zaciskają pięści i łyskają oczyma złości i pomsty i że *tym wrogiem jest Bułgar!* nie Turek, nie Austrjak, ale Bułgar! Bułgar brat i Bułgar zdrajca! podły i przewrotny brat Słowianin z nad brzegów Marycy!..

Spotykałem się niejednokrotnie ze zdaniem, wyrażanem ustnie i publikowanem w druku, że wszystkie wieści o serbsko-bułgarskich rozdźwiękach są tendencyjną robotą Niemców — machinacją niemieckiej prasy, która przesadza w barwach, chcąc *widzieć* już to, czego tylko *pragnie* i intrygą niemieckiej dyplomacji, która celowo rozdmuchuje spory, by osłabić siłę i znaczenie niebezpiecznego sojuszu.

Że takie intrygi były i że takie intrygi są, to jest prawda. Ale żeby relacje niemieckie o waśniach i sporach były przesadzone, to — *nie jest niestety prawda!* Przeciwnie. Jeśli jaki zarzut można im uczynić, to chyba ten tylko, że biorąc rzeczy *powierzchownie*, nie z własnych źródeł, nie doceniają *głębokości* tych sporów i tych zawiści.

Korespondenci pism niemieckich i zagranicznych wogóle obracają się przeważnie w kołach oficjalnych, w kołach dyplomatycznych i politycznych, gdzie jednak prawdy pełnej nigdy

się nie dowiedzą, bo *politycy* obu narodów mają dość wyrobienia, by zrozumieć, że odkrywanie wszystkich ran i szczelin sojuszu mimo wszystko nie leży w interesie ani Serbji, ani Bułgarji — a powtóre korespondenci, czerpiąc informacje ze sfer politycznych, nadają też swym relacjom zabarwienie polityczne i polityką też tłumaczą rozdźwięki.

Tymczasem to jest punkt wyjścia zgoła fałszywy. Bo *Serbów i Bułgarów nie rozdziela polityka*. Przeciwnie. Polityka ich spoiła, zimne wyrachowanie polityczne sprzęgło *i tylko jeszcze polityka ich dzisiaj trzyma* (o ile tylko wogóle jeszcze utrzymać coś może).

Nie przemijające spory polityczne rozdzielają oba narody, ale rozdziela je historja wieków, odwieczna głębia narodowej nienawiści, rozdziela je — *dusza* narodu!

W lud trzeba pójść i mówić z tłumem, przejść wszystkie klasy inteligencji, zbadać wszystkie warstwy społeczeństwa, posłuchać historji, by zrozumieć najgłębsze podstawy antagonizmu, by pojąć i zmierzyć nieprzebytą otchłań przepaści, która z Serba i Bułgara czyni dwuch śmiertelnych, nigdy nieprzejednanych wrogów.

Nie w gabinetach ministrów, nie przy zielonych stołach polityków gnieżdżą się powody sporów, bo tam właśnie z mozołem i poświęceniem kuje się i spaja rwący się wciąż łańcuch zgody. *W duszy narodu* mieszka zasadniczy rozdźwięk!

Rozum stanu, podziwu godna myśl polityczna i żelazna wytrwałość kilku wyjątkowych ludzi zdołały wznieść się ponad przeszkody wokół wyrastające, zdołały mirażem spodziewanych zysków i tryumfów przekonać chwilowo naród, zażegnać waśnie, uśpić uczucia i pchnąć dwuch wrogów do zgodnych wysiłków.

Przymierze interesów, braterstwo broni i widome znaki odmienionych korzyści złagodziły na chwilę antagonizm. Ale tylko *złagodziły! Zupełnie* nigdy go nie usunęły. *Nawet w okresie najwyższych narodowych uniesień*, w chwilach najgorętszego entuzjazmu zwycięstw, *w sercu Serba i Bułgara mieszkała nieufność* i czaił się sęp złości, gotowy do drapieżnego skoku.

Jakim torem dalsze poszły wypadki jest rzeczą powszechnie wiadomą. Rozdział łupów i sprzeczność dawnych apetytów na wspólnie pożądane ziemie (och! ta nieszczęsna Macedonja!) od nowa zbudziły drzemiące uczucia zawiści. Odwieczna, nigdy nie zaspokojona nienawiść dwuch pobratymczych narodów wybuchła z całą swoją pierwotną potęgą!

I nie potrzeba chyba udowadniać, jaką doniosłość dla najbliższej przyszłości ma ów fakt zbudzonej z chwilowego letargu niezgody. Zmienił poprostu nastrój i cały kierunek uczuć narodu Serbskiego!

W czasie sojuszniczych złudzeń cała prężność narodowej energji Serba jeden tylko miała cel i jedno ujście. Tym celem była Austrja.

Dzisiaj nastąpiło *rozczepienie* uczuć. Nienawiść do Austrjaka pozostała, ale obok niej, równolegle do tego mocnego uczucia wstało do życia uczucie jeszcze silniejsze, jeszcze potężniejsze! padła na szalę nienawiść do Bułgara!—

I otóż z tego stanu rzeczy wyciągniemy pierwszy argument w odpowiedzi na pytanie u wstępu niniejszej korespondencji postawione: „Czy Serbja pójdzie na Szwaba?“

Uczuciowo Austrja przestała być *jedynym* celem energji i *jedynym* przedmiotem, skupiającym na sobie *całą i niepodzielną*, nienawiść narodu Serbskiego.

Zatem *uczuciowo* Serbja jest dzisiaj mniej podatna dla takiej orjentacji politycznej, której ostrze kierowałoby się wyłącznie przeciw monarchji Habsburgów.

(d. c. n.). *Mieczysław Jełowicki.*

Od Towarzystwa Hygieny Praktycznej im. Bolesława Prusa,

otrzymujemy następującą odezwę:

Już siewca dawno zeszedł z pola, już ślady jego stóp się zatarły, kiedy ziarno przezeń posiane, kiełkuje, zieleni się, rośnie i zakwita.

Przez lat 40 Bolesław Prus orał glebę duchową swego narodu i siał zdrowe ziarna rozumu, powtarzając wciąż tę prawdę, że dopóki na świecie ogół ludzi nie będzie czysty, syty i odziany, dopóki nie będzie wygodnie mieszkał, zabezpieczony od choroby i na starość, dopóty sprawą pierwszego rzędu będzie nie poezja, nie estetyka, ale zdrowie i dobrobyt.

I oto rok już mija, jak zeszedł z pola pracy ukochany pisarz, a myśli jego przenikają zwolna mózg narodu, podniecają go do pracy do podniesienia swego dobrobytu, do zwiększenia siły i energji. Z natchnienia Prusa powstałe i zdobne jego imieniem Towarzystwo Hygieny Praktycznej dąży obecnie do tego, ażeby wystawić w Warszawie, w dzielnicy robotniczej, wielkie kąpielisko, dostępne dla ubogiej ludności.

Umieszczeniem na frontonie gmachu popiersia Prusa, nadaniem nazwy: „Kąpielisko im. Bolesława Prusa“—uczcilibyśmy godnie pisarza, który wypowiadał się nieraz przeciwko pomnikom i monumentom, ku ozdobie, a bez pożytku. Rozraduje się duch Prusa na widok powstającego w mieście zakładu użyteczności publicznej.

Uczci najpiękniej Jego pamięć, kto 19 Maja w dzień pierwszej rocznicy jego śmierci ofiarą złożoną w Redakcji powiększy dotychczas zebrany fundusz w sumie 11000 rubli na budowę kąpieliska im. Bolesława Prusa.

Z TYGODNIA.

Kinematograf, maj i Zielone Święta.—Na łonie natury. — Niebezpieczne sam na sam.— Sezon w Dolinie Szwajcarskiej. — Zielony karnawał. — Fortuna kołem się toczy.

— Czy pani idzie do kinematografu? — Ależ, cóż znowu! — oburza się moja rozmówczyni — Zielone Święta, tak pięknie na świecie, gdziebym się w kinematografie dusiła? zieloność... maj! — i, jakby dla potwierdzenia słów swoich o *zieloności... zaczerwieniła* się z oburzenia na takie przypuszczenie moja sympatyczna towarzyszka.

Pomyślałem sobie wówczas, że jednak nie darmo nazywają maj miesiącem poetów i t. d. bo nawet kinematografomanja widocznie w tym miesiącu słabnie, ustępując miejsca bardziej „słowiczym“ pragnieniom...

Jakże miło śpiewać w maju
O miłości cudnym raju...
Jakże miło, gdy w zieleni
Panieneczka się... czerwieni.

Ale coby to było, żeby filmy kinematograficzne były zielone?

Wtedy napewno trudny byłby wybór między naturą a — kinematografem. Cieszmy się jednakże, że jeszcze tak źle nie jest i że filma nie wytrzymuje (w maju tylko) konkurencji:

Z tą wiosenką, co pod serce
Z kwiecia ściele nam kobierce.

To też rojno było za miastem w Zielone Święta; parki i pareczki gruchały na łonie natury—na szczęście bowiem nie obowiązuje jeszcze u nas przepis, jak to ma miejsce w jednej z gmin w Belgji, że kobiecie nie wolno sam na sam pozostawać z mężczyzną o ile nie jest on jej prawowitym mężem. Doprowadziło to już w zeszłym roku do paru nader humorystycznych wydarzeń a i w bieżącym maju policjant, zauważywszy staruszkę, Bogu ducha winną, siedzącą wśród zieleni z kilkuletnim chłopczykiem, spisał o tem protokuł — „winni“ więc zostaną pociągnięci do odpowiedzialności a „sprawiedliwości“ stanie się zadość.



Z wiosennych wyścigów. Przed trybunami.

Mój Boże, coby to się u nas działo żeby z takich „posiedzeń“, tylko rozumie się osób w równym mniej więcej wieku (bo to nie Belgja przecież) spisywano protokuły... czasami pewnie stałoby się naprawdę sprawiedliwości zadość.

Wszyscy pragną zieleni i powietrza—przenoszą się z zimowych swych stanowisk do zielonych salonów. I orkiestra Filharmonijna zmieniła już siedzibę, obrawszy sobie locum w uroczej i sympatycznej Dolinie Szwajcarskiej. Będziemy więc mieli w tym roku, dzięki zespołowi tej miary jak warszawscy filharmonicy, co wieczór koncerty, które w pełni chyba zadowolnią nasze artystyczne upodobania.

Spieszcie więc na koncerty do Doliny — sezon już się rozpoczął.

Ale i na polu Mokotowskiem... grają. I tam zielony karnawał, lecz to tylko dalszy ciąg, bo— dla dżentelmanów wyścigowych (są i konie wyścigowe ale o tem potem) zielony karnawał jest nietylko na wiosnę lecz i... w zimie nawet—w klubie przy zielonych stolikach. I wtedy grają i teraz grają, były karty— jest totalizator (o koniach—potem) jednem słowem „zespół“ na wyścigach *gra — jak z kart* a właściwie, teraz, *gra — jak w totalizatora*.

Jak w dziurawym jakim kuble.
Giną z kiesy wszystkie ruble.

Zjazd duży—rojno na wyścigach — nadobne panie jaśnieją pięknością i rozumie się — tua-



Nie wolno w Belgji siedzieć sam na sam mężczyźnie z kobietą, choćby ona była staruszką a on — dzieciakiem. W takich „wypadkach“ spisuje się natychmiast protokuł policyjny.

letami. Koniska biegają zapamiętale, dając ludziskom furę (tylko nie siana, bo to dla osłów dobre) emocji i szereg niespodzianek. Ów „fuksem“ straci gotówkę a inny za „fuksa“ weźmie w tolizatorze blizko pół tysiąca rubli, jak to było już raz na obecnych wyścigach.

Wkoło biegają konie na torze, nic też dziwnego że i... fortuna kołem się toczy.

Scriba.

TEATR.

Teatr Wielki — „Ojczyzna“. Dramat historyczny Wiktoryna Sardou „Ojczyznę“, wybrał Kotarbiński na swe przedstawienie jubileuszowe. Chociaż — „Ojczyzna“ nie posiada głębi poetyckiej i bynajmniej nie jest dziełem natchnienia lecz raczej udolnej roboty teatralnej, wzbudza jednak zaciekawienie, interesuje więc i daje szereg silnych efektów, które trzymają widza w ciągłem podnieceniu.

Flandrja jęczy pod uciskiem, nieubłaganego pogromcy obrazoburców niderlandzkich, krwawego rzecznika inkwizycji, bezlitosnego ks. Alby. Na wszystko nakładają podatki—za sprzedany kęs chleba trzeba wielkorządcy płacić dziesięcinę, wyroki i egzekucje rzucają grozę na kraj cały. Lecz budzi się wśród narodu żywiołowe pragnienie zemsty i zerwania kajdan, nałożonych przez ciemiężycieli. Na czele spisku stoi szlachetny hr. Rysoor. I gdy już zdaje się, że błogosławiona wolność zajaśnieje nad krajem, zdrada pięknej Dolores, Hiszpanki, poślubionej wodzowi spiskowców a oddającej się skrycie uczestnikowi spisku Karolowi, niweczy wszystkie plany i nadzieje. Dolores, pragnąc ocalić kochanka przed zemstą męża, donosi o spisku ks. Albie. Giną setki spiskowców; ks. Rysoor zdołał się przebić z bronią przez szeregi oprawców. Karol, który odzyskał wolność tylko dzięki prośbom córki krwawego księcia, poprzysiągł zemstę zdrajczyni, zabija więc piękną Dolores i sam odbiera sobie życie.

Postać tytułową hr. Rysoora znakomicie odtworzył Kotarbiński z tą wysoką kulturą artystyczną, która cechuje wszystkie jego kreacje. Pani Marcello-Palińska była świetnem wcieleniem namiętnej hiszpanki, tragicznej Dolores.

Pozostali artyści grali z rzadką poprawnością. Sztuka wyreżyserowana świetnie.

Teatr Polski — „Trójprzymierze“. Komedja Zygmunta Kaweckiego a właściwie farsa „Trójprzymierze“, należy do najsłabszych elaboratów tego utalentowanego pisarza. Figury przeszarżowane, nieudane jakieś karykatury z życia, ubogi dowcip, silenie się pod sam koniec na pozory jakiegoś głębszego tonu i w rezultacie zakończanie sztuki niesmacznym, płytkim i banalnym finiszem — oto wszystko. Ale nie, nie wszystko jeszcze—są w sztuce a właściwie można tam dostrzedz czasem dobrze naszkicowany urywkowy moment — przez sekundę dobrze narzuconą barwę, ale linja koślawi się wnet i rachitycznie wykręca a kolory robią w ogólnej całości wrażenie, jakby nie artysta lecz malarz szyldów i znaków rzucał je na ekran. Nie pomogła świetna gra Zelwerowicza, Dulębianki i innych, gdy p. Kawecki nie chciał napisać dobrej sztuki, na którą przecież stać go, należy bowiem do autorów o niezaprzeczonym talencie.

Teatr na Dynasach. W sympatycznej siedzibie cyklistów na Dynasach otworzyła już Melpomena podwoje teatru. Sezon rozpoczęto dowcipną operetką „Panny w Kozie“ oraz miłymi wesołymi utworami „Noc miłości“ i „Piękny sen“ Falla. Artyści wszystko czynili, by zadowolnić licznie zebraną publiczność, i— przyznać należy—udało im się to w zupełności. Piękne ustronie, ceny przystępne, repertuar urozmaicony—wszystko to powinno zapewnić teatrowi na Dynasach należyte powodzenie i poparcie szerszej publiczności.

W. Z.

Miecz i dyplomacja.

Koniec epopei czarnogórskiej. — Zabiegi o Skodar. — Stanowisko króla Mikołaja. — Polityka a giełda.—Pomiędzy związkowcami.—Kandydaci na tron albański.—Huczne wesele w Berlinie.

Skończyła się wielka epopeja czarnogórska. Skończyła się nagle, niespodzianie, w sposób jakiś dziwny, niejasny, który kiedyś niewątpliwie historja wyświetli i oceni należycie. A zajmującą była ta epopeja dlatego, że przez długie tygodnie utrzymywała Europę całą w naprężeniu, w obawie jakiejś niebywałej jeszcze w dziejach świata katastrofy wojennej. Dziś wszystko to niby mgła się rozwiało. Europa w ciągu tygodnia tak pokojowo się nastroiła, jak gdyby jej wcale żadne niebezpieczeństwa nie groziły.

Dziwny był przebieg owej epopei. Pół roku trwało zdobywanie S k o d a r u. Przez owe pół roku zaszły rozmaite okoliczności. Austrja, chcąc rozbić związek bałkański, wymusiła na mocarstwach utworzenie niezależnej Albanji, właśnie z tym samym Skodarem jako stolicą. Mocarstwa zgodziły się na to, wezwały króla Mikołaja, aby odstąpił od Skodaru. Daremnie.

Niewiele pomogły perswazje i groźby. Niewiele pomogła nawet blokada wybrzeży czarnogórskich. Król Mikołaj zaciął się i stawił opór całemu „koncertowi“ mocarstw europejskich.

Po zdobyciu w Skodarze król Mikołaj rozgościł się na dobre. Ogłosił miasto stolicą Czarnogórza. Gdy mu Austrja przesłała kategoryczne żądanie, aby ustąpił, zaczął szykować się do wojny. Zdawało się, że lada chwila rozlegnie się huk dział, że Europa skąpie się w krwi potokach. Nagle król Mikołaj oświadcza, że ustępuje woli mocarstw i zrzeka się Skodaru.

Co spowodowało tę nagłą zmianę? Opowiadają — ale to



85 letni **Djemil-pasza,** były gubernator Bagdadu, walczył jako zwykły żołnierz w szeregach armji tureckiej.



Po zajęciu Skodaru przez Czarnogórców, wojska tureckie z bronią w ręku opuszczają fortecę.

chyba są bajki—że król Mikołaj, widząc, jakie wrażenie na giełdach wywołuje zachowanie się jego wobec woli mocarstw i jak szalenie spadają niektóre papiery wartościowe, brał co mógł gotówki, swojej i nie swojej i wysyłał z nią agentów do Paryża, Wiednia i Berlina. W chwili gdy zdawało się, że wojna jest nieuniknioną, król dał swym agentom znać, aby poczynili jaknajwiększe zakupy owych nizko stojących papierów, dając na nie tylko zadatki. Gdy otrzymał odpowiedź: „zrobione", ogłosił wycofanie się ze Skodaru. Papiery podskoczyły raptownie w górę; król Mikołaj zarobił na tem kilka, czy nawet kilkanaście miljonów.

Nie byłby to pierwszy przykład „robienia polityki" dla zysków giełdowych". Robili to już inni. Nawet Bismark grał na giełdzie podczas wojny francusko-niemieckiej. Gdyby jednak opowiadanie powyższe miało być prawdą, król Mikołaj zostałby zaliczony do najśmielszych i najryzykowniejszych — graczów giełdowych.

W każdym razie kamień obrazy, o który rozbijało się zakończenie wojny bałkańskiej, został usunięty. Rokowania już się toczą. Pokój między Turcją a państwami bałkańskiemi lada dzień zostanie zawarty. Czy zakończy on starcia, wytwarzające się między związkowcami,—to rzecz inna. Pod Salonikami doszło już nawet do formalnej bitwy między bułgarami a grekami o jakieś miasteczko; 70-u greków padło w tej awanturze. Naturalnie, kierownicy obu państw starają się łagodzić te rozterki, ale jad nienawiści wpaja się coraz głębiej między dwa narody i prędzej czy później może wydać smutne następstwa.

Do bułgarów zresztą roszczą pretensje nietylko grecy. W Serbji również niechętnem patrzą okiem na powodzenie, jakie towarzyszyło Bułgarji w czasie wojny ostatniej. Partja wojenna,—ta sama, co w zbrodniczy sposób spowodowała zmianę na tronie serbskim,— całą siłą pcha do wojny z bułgarami. Tkwi w tem wszystkiem wielkie niebezpieczeństwo dla półwyspu Bałkańskiego.

Dla Europy niebezpieczeństwem jeszcze jest kwestja kandydata na tron przyszłej Albanji. Kandydatów jest mnóstwo. Podobno nawet Roosevelt figuruje na ich długiej liście. Ale pomiędzy mnóstwem niepoważnych kandydatów znaleźć się muszą dwaj najgłówniejsi: jeden popierany przez Austrję i „trójprzymierze" drugi przez Rosję i „trójporozumienie". Wybór między nimi — to nie jest rzecz błaha. Podobna kwestja czterdzieści lat temu wywołała wojnę między Niemcami i Francją: szło o kandydata na tron hiszpański.

Dziś do czegoś podobnego chyba nie dojdzie. W Berlinie stanowczo w to nie wierzą, — a Berlin w podobnych wypadkach dobre miewa przeczucia. Nad Sprewą szykują się do hucznego wesela. Córa cesarska wychodzi za mąż, za przedstawiciela rodziny Cumberlandów, wrogiej Hohenzollernom. Coś niby Montecchi i Capuletti. Z okazji zawieranej zgody odbędzie się wielki zjazd w Berlinie. A na zjeździe tym mają być nawiązane nowe układy polityczne, zapewniające Europie spokój na długie lata.

Zobaczymy. *h. m.*

Sprostowanie. W № 19 „Złotego Rogu", poświęconym twórczości Oskara Wilde'a, w wierszu tegoż p. t. „Królowa Henrieta Marja" w 7-ym wierszu z góry zamiast: „Mężnie bez twogi idzie za Królem i Panem", winno być: „Mężnie też ona idzie za Królem i Panem".



Po zajęciu Skodaru przez Czarnogórców, w Cetynji odbyło się nabożeństwo dziękczynne. Do świątyni dążą: król Mikołaj, ks. Daniło, królowa czarnogórska, ks. Milica i dygnitarze.



Femina

Piękność kobiety współczesnej.

I.

Wobec ustawicznej i niezaprzeczonej ewolucji kobiety współczesnej, wielu mężczyzn zadaje sobie trwożliwe pytanie, czy ewolucja ta nie wywrze zgubnego wpływu na wdzięk i urodę niewieścią.

Ażeby trafnie rozstrzygnąć to tak ważne dla ludzkości zagadnienie, zastanówmy się przedewszystkiem, co to jest kobieca piękność ze stanowiska mężczyzny. Otóż pięknością kobiecą nazywa on to wszystko, co zachwyca oko i porywa jego duszę. Jeżeli jednak podlega ewolucji kobieta, to również podlega jej i mężczyzna. Sposób więc oceniania przez mężczyzn urody kobiecej ulega zmianie nietylko wskutek ewolucji kobiety, lecz również i wskutek tego, że zmieniają się poglądy ich na kobietę, tak samo jak zmieniają się poglądy kobiet na mężczyznę.

Przeto idea piękności, podlegając ewolucji, nie jest objęta żadnym określonym kodeksem. Bo choć ciągle jeszcze jesteśmy pod wpływem sztuki greckiej, choć do chwili obecnej za piękną uważana jest taka kobieta, której kształty przypominają rzeźby Praksytelesa lub Fidjasza, to jednak w ciągu stuleci, które nas dzielą od powyższej epoki, w fizjologicznej budowie kobiety zasadnicze zaszły zmiany.

Uledz również musiały zmianie i pewne formy plastyczne, poczytywane za niewzruszony i zasadniczy warunek piękności.

Przedewszystkiem zasadniczej zmianie uległa budowa czaszki kobiety współczesnej, pracującej umysłowo na równi z mężczyzną. Czoło jej stało się szersze. Prawo zaś koordynacji fizjologicznej sprowadziło oprócz powyższych i wiele innych zmian w budowie jej głowy. Współczesna więc kobieta nie może być zupełnie podobna do dawnych mieszkanek Sparty lub Aten. Zmiana przytem społecznych i moralnych warunków ludzkości stworzyła inny ideał piękności niewieściej. Nie jest on doskonalszy lub gorszy od ideału Praksytelesa lub Fidjasza. Piękność ta bowiem w ścisłym pozostaje związku z ewolucją kobiety oraz z odmiennemi aniżeli dawniej, upodobaniami mężczyzny. Piękność zarówno, jak każdy inny objaw materjalnej naszej egzystencji posiada swoje fazy historyczne.

I fikcją jest prawo, dotyczące pewnych określonych nieulegających zmianie rozmiarów ciała ludzkiego (uważanych zazwyczaj jako niezbędny warunek piękności). Wielu uczonych i artystów, badających powyższą sprawę, doszło do wniosku, iż od czasów starożytnych Egipcjan aż do chwili obecnej, istniały rozmaite, nic ze sobą wspólnego niemające typy piękności kobiecej. Faktem jest również niezaprzeczonym, iż pomimo idealnej prawidłowości rysów twarzy oraz rozmiarów ciała, może być kobieta brzydką i pozbawioną wdzięku.

Nie należy również dowierzać ideałowi doskonałej piękności, wyobrażanej przez artystów. Pozostaje ona bowiem w ścisłym związku z duszą ich i uczuciami, co znów bardziej zależne jest od obyczajów i umysłowych wymagań epoki, aniżeli od jakichś nieuchwytnych warunków idealnych. A im większy będzie ich talent, tem potężniejszy wpływ wywierają na zwolenników swych i naśladowców.

W epoce Botticelego np., który w swojej Venus florenckiej unieśmiertelnił rysy suchotnicy Simonetty Catanea, metresy Juljusza Medyceusza, zapanował kult obwisłych ramion, wydłużonej szyi oraz wązkich i zapadniętych piersi. A oznaki utraconego zdrowia stały się niezbędnemi cechami piękności w pracach wielu znakomitych ówczesnych artystów.

Równolegle z reformą wychowania i wykształcenia kobiety, inne powstanie pojęcie o niewieściej piękności. Stanie się kobieta — bezwątpienia silniejsza i większa, lecz nie utraci wskutek tego właściwego sobie wdzięku. Kilka takich typów, będących uosobieniem piękna przyszłości, znajduje się wśród słynnego zbioru czte-

rystu piękności z New-Yorku. Charakterystyczną ich cechą jest wdzięk, czar niewysłowiony, siła, zręczność oraz inteligencja, lecz nic wspólnego, nie mają one z typem piękności greckich.

Piękną wydaje się kobieta pod wpływem wywieranego na swe otoczenie wrażenia piękności. I jak piękny krajobraz, zmienia się tak samo i piękna kobieta w oczach patrzących na nią ludzi. Jedni przejdą obojętnie obok tego, co do ekstazy doprowadza drugich. Piękność zaś sama przez się nie istnieje zupełnie, najwymowniejszym dowodem powyższego jest sposób oceniania jej przez rozmaite narody. Dla mieszkańców Guyany np. piękną jest kobieta tęga i o nizkiem czole. U Syngalezów zaś tem więcej ceniona jest piękność niewiasty, im bardziej nos jej przypomina dziób sokoli, im grubsze i szersze ma wargi, im bardziej płaskie stopy i w kształcie pawiego ogona koafiurę.

U mieszkańców Europy np. jednym z niezbędnych warunków urody jest przedewszystkiem biały kolor skóry, czego znów nie uznaje wielu mieszkańców Australji, Ameryki, Afryki i Azji.

Wynika z powyższego, iż piękność zarówno jak i rozmaite na nią poglądy są jedynie następstwem pewnego stopnia kultury i zmieniają się pod wpływem otoczenia.

Eugenja Żypowska.

(d. c. n.)

W SZESNASTEJ WIOŚNIE

W szesnastej wiośnie... Jakże ślicznie i uroczo brzmią te wyrazy!... Jest to określenie całego czaru wiosny zaklętego w postać młodej dziewczyny. Przed tym żywym tematem, bledną i milkną wszelkie inne poetyczne przejawy. Lat 16 i uroda — to skarby nie dające się z niczem porównać i niczem zastąpić. Pierwszy z nich pierzcha na skrzydłach czasu, drugi pozostaje o wiele, wiele dłużej lecz już w innych barwach i w innem oświetleniu.

Patrząc na te urocze *cud-dzieweczki*, nabieramy przekonania, że im się należą specjalne względy ze strony wszechwładnej mody, która nie może je podciągać pod zwykły szablon rozkazów wydawanych innym a musi tworzyć dla nich coś odrębnego, zastosowanego do ich wyjątkowych, szczęśliwych warunków.

Będąc pośredniczką pomiędzy modą a szanownemi paniami, uważam sobie za obowiązek, uświadomić je co do tego, jak prawdziwie elegancka i prawdziwie estetyczna moda, pojmuje sposób ubierania się istot mających szesnaście wiosen.

W ścisłem znaczeniu składniki ubiorów młodych panienek, prawie w niczem się nie różnią od ogólnie stosowanych w modnych tualetach; zmiana i różnica polega na sposobie wykończania materjałów, na kroju, ilości, fasonach, upięciach i t. d. Młoda panienka może nosić aksamit i jedwab, prawdziwe koronki i futra, kwiaty i pióra, a jednak *całość*, musi być zasadniczo odmienna od strojów młodych kobiet musi mieć swój odrębny rodzaj, swój specjalny szyk.



W szesnastej wiośnie...

Ponieważ różnice te polegają często na małych drobiazgowych odcieniach, więc chcąc je artystycznie zaznaczać, trzeba posiadać trzy osobiste właściwości; *subtelność, takt i gust.* Jest to połączenie dosyć trudne, można jednak i trzeba je zdobyć, chcąc wyjść zwycięsko z tego na pozór błahego, a jednak nieskończenie wdzięcznego zadania, jakiem jest estetyczne ubieranie młodych panienek. Jak w pięknej symfonji tonów, każden dysonans staje się nieznośnym zgrzytem, tak w tualecie młodej panienki, najdrobniejsza niewłaściwość psuje harmonję całości.

Główną zaletą staje się tu naturalność, prostota, brak wszelkiej pretensjonalności i przesady, zapewnienie zupełnej swobody i zręczności ruchów, wykluczenie skrępowania i robionej strojem zalotności. Tualeta młodej panienki musi być koniecznie skromniejsza, mniej wyszukana od stroju młodej kobiety ogólnie, a matki szczególniej. Jako cechy charakterystyczne ubrania, szesnastoletniego dziewczątka służyć mogą różne drobiazgi, jakiś pasek czarny lub kolorowy, jakiś odrębny krój kołnierza, jakieś figlarne na kapelusiku pióreczko i t. d., jednem słowem wszystko to, co by się nie nadało przy ubraniu osoby troszkę starszej.

Osobom dbającym o tradycję, a więc trochę zacofanym, trzymającym się latami przyjętych

zwyczajów, choćby tylko dla tego, że to samo czyni ich otoczenie, obecny sposób ubierania się młodych panienek, nie bardzo trafia do przekonania. Wytworność materjałów i kroju, pewna tożsamość wyglądu z tualetami starszych, wyklucza zdaniem tych osób *młodzieńczość* wyglądu. Dawniej ubierano młode panienki nawet w zimie w tanie letnie wełenki, co dzisiaj wyglądałoby okropnie, dziś panienka nosi w zimie na ulicę kostjumy angielskie z welwetu, aksamitu, lub z *Covert-coat*, modnym luźnym krojem, z marynarską bluzką i zręcznym żakietem, lub z modną *veste*, ale całość musi się różnić krojem i wykończeniem od kostjumu starszych, inaczej tualeta pozbawiona jest wdzięku i wygląda pretensjonalnie, czego nadewszystko unikać dla młodych panienek należy.

Ślicznie dla panienki wygląda kostjumek z wełenki *damier* w krótkę białą z czarnym lub białą z granatowym, z żakiecikiem albo z tego samego materjału, albo z czarnej lub granatowej materyjki. Również eleganckim będzie kostjumek z materjałów angielskich *„Frottin“* we wszystkich odcieniach popielatych, a bardzo nieodpowiedni, niewłaściwy dla panienki byłby kostjum cały jedwabny, z atłasu, z tafty, lub mory.

Kapelusze muszą być małe lub średnie, dozwoloną jest ładna egreta, niewłaściwe są duże strusie pióra. Na sukienki popołudniowe może być stosowana *charmeuse'a* lub *voile Ninon*, także kolorowy fular, jedwabie japońskie w rodzaju *„toile de Jouy“*, zawsze jak teraz jeszcze w ciemniejszych, spospokojnych barwach, a to oczywiście aż do ustalenia się pełnego letniego sezonu, gdyż zawsze trzeba mieć to na względzie, że prawdziwa elegancja musi być ściśle do sezonu zastosowana. Już i teraz, z okazji jakiegoś większego zebrania lub uroczystości, dozwolone są dla panienek sukienki zupełnie jasne, które muszą posiadać krój specjalny, staniczek musi być utrzymany w kroju bluzkowym, luźnym, zatracającym linje biustu i talji, rękawy modnym krojem zaczynającym się przy pasku, mogą być do łokcia lub długie, szyja musi być odkryta, spódniczka lekko dookoła nadmarszczona powyżej tallji, sięgająca kostki, z gładką na dole plisą i bez żadnych draperji.

Trudniejsze dla młodych panienek, jest ubranie wieczorowe. I tu zachowana być musi wielka prostota kroju — linji. Ślicznie w tym celu wygląda materjał zwany *chiffon*, cielistego koloru, w rodzaju *princesse*, całej nadmarszczonej, lekko wyciętej, na nią włożony rodzaj kaftaniczka krojem *bolero*, z długimi rękawami, z materji niebieskiej mienionej z różowym. Jest to *par excellence* strój na śluby, wesela, wieczorki. Do takich tualet młode panienki nigdy nie kładą kapeluszy.

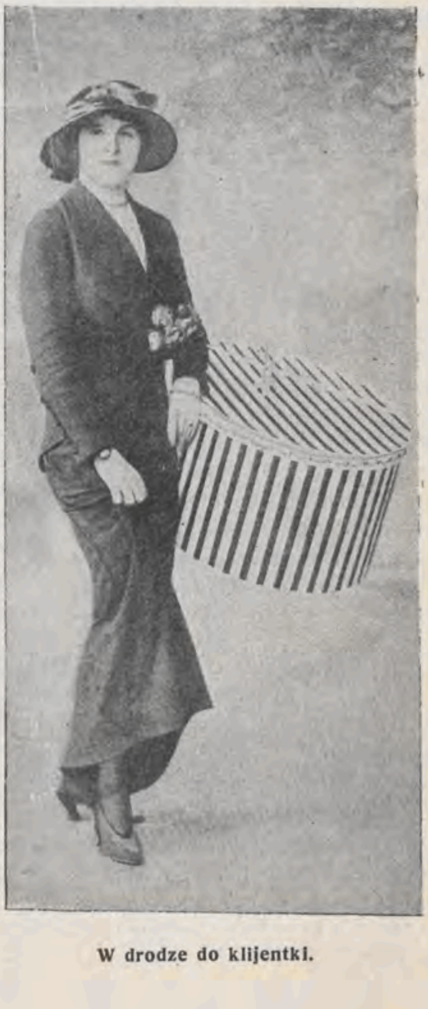
W lecie na ulicę do rannego negliżowego wyjścia, bardzo odpowiednim kapelusikiem dla młodych panienek jest ładna *panama*, opasana długim welonem z *chiffon'u*. Do ubrania popołudniowego, kapelusz *panama* się nie nadaje. Toczek, lub mała *Capeline*, przybrane gazą, sezonowym kwiatem, wstążką, okolona małemi strusiemi piórkami. Wogóle kapelusze młodych panienek nie mogą robić wrażenia drogich, kosztownych, ale muszą być bardzo eleganckie i zręczne.

Myślą przewodnią, hasłem ubrania młodych panienek, powinna być skromność, prostota, w połączeniu z wytwornością oraz nie zwracanie na siebie strojem uwagi. Nawet przy luksusowej tualecie matki — ubranie młodocianej córki bardzo pojedyńcze i skromne, byle niezmiernie staranne, zawsze dodatni sprawi efekt. Objaw zaś przeciwny, to jest bogaty przeładowany strój córki, przy zbyt skromnym zaniedbanym ubiorze matki, wzbudzi niesmak, odrazę.

Cała sztuka, cała estetyka ubrania młodej panienki polega na tem właśnie, by i całość i wszystkie szczegóły od głowy do końca obcasa były zasadniczo odmienne, inne jak w stroju jej matki. Dawniej nie znano tych subtelnych różnic, rzecz się przedstawiała o wiele prościej. Znano dwa rodzaje ubrań, tak zwany *ubiór młodzieńczy* i ubiór dla *pań zamężnych* z charakterystyczną a wstrętną na głowie kapotką wiązaną pod brodą. Wszystko to rozwiało się w mgle zanikającej coraz szybciej staroświeczczyzny tualetowej, która wyzwoliła się z więzów dawnych uprzedzeń, zabłysnęła nowem światłem postępu i udoskonalenia, polegającym *na subtelności, na guście i na takcie tualetowym.* *Marcèle.*

MODYSTKA.

Długie minęły lata od chwili, w której sławny Murger powołał do życia i wprowadził do literatury, jako bohaterkę swego pomnikowego dzieła *„La vie de Bohême“* (Cyganerja), nieśmiertelną Mimi Pinson, pierw-



W drodze do klijentki.

szą modystką, która do dziś pozostała pierwowzorem i pierwotypem wszystkich tak obecnie zwanych *Midinettes*, czyli młodych dziewcząt pracujących w magazynach mód i w pracowniach sukien i strojów. Nazwa pochodzi od słowa *midi* (południe), to jest godzin wolnych od zajęć, w których modystki spacerują po Paryżu.

Oczywiście, wraz ze zmianą ogólnych warunków wielkomiejskiego życia, zmienił się i byt modystek a przynajmniej znacznej ich liczby. Niektóre odbiegły daleko od pierwowzoru—od owej niezrównanej Mürgerowskiej Mimi, śpiewającej wesoło „Mais simple et modeste, je dédaigne l'or"... Owe *wielkie* w swoim fachu, pracujące na ulicy *de la Paix* w Paryżu, posiadają własne automobile i pracują po parę godzin dziennie, inne zarabiają sporo, pozując do zdjęć filmowych u *Gaumont i Pathé*, lub też mają bogatych protektorów, ale to wszystko są wyjątki. Ogół modystek a dzisiejszych *Midinettes*, pozostał takim, jakim był przed laty. Są one oszczędne, pracowite, młode, wesołe, dobre z gruntu, i bajecznie—fachowo zręczne. Z bezkształtnej bryłki słomy, lub zwoju koronek, leżących bezładnie na stołach pracowni, czarodziejskie ich paluszki i niezrównany gust, tworzą w ciągu godzin paru, owe kapeluszowe arcydzieła, podziwiane w *Longchamps* lub w *Auteuill* a opłacane na wagę złota przez najwytworniejszą wszechświatową klijentelę. Jakby od niechcenia, z uśmiechem lub piosenką na różowych, świeżych usteczkach, zabiera się paryska modystka do dzieła. Słoma i drucik przybierają z błyskawiczną szybkością piękne modelowe kształty, jeszcze parę ściegów, parę dotknięć, jakieś przygięcie i oto forma kapelusza gotowa. Teraz chodzi o przybranie, o przypięcie egrety, kokardki, wianuszka, piórka lub kwiatka. To się robi jednym rzutem, bez żadnych prób lub wachań—gdzieś na rondzie zjawia się egreta lub rajer, przypięty w jedynem właściwem dla siebie miejscu — pół centymetra na prawo lub na lewo — a kapelusz nie byłby już owym poetycznym utworem, tej z Bożej łaski artystki swojego fachu. Jest ona bez kwestji poetką. Zamiast pióra i atramentu, tworzy za pomocą jedwabiów, brokatów, futer, koronek, które układa w przepiękne linje, składające się na całości, niezrównane, na arcydzieła natchnionego gustu — Mistrzyni...

Poeta Alfred de Musset opiewał biedne modystki, śniące na poddaszach o cudnych, wykonywanych przez siebie strojach primadon. Dziś czasy się zmieniły. Elegancka modystka podziwia stroje artystek siedząc w wygodnym teatralnym fotelu, krytykuje tualety, kształci gust i bawi się wybornie.

Wogóle modystki wzbudzały zainteresowanie poetów i malarzy, bo oto Watteau, Lacret, Gavarni, unieśmiertelnili ich typy, obok największych arystokratek.

Marcèle.

Porównanie mód 1912 i 1913 r.

Załączone fig. mód 1, 2, 3, 4 i 5 nie wykazują wielkich różnic co do niektórych strojów, między wzorami 1912 i 1913 roku. Mogą więc śmiało Sz. Czytelniczki, którym chodzi o oszczędność, przerabiać zeszłoroczne sukienki a nikt tego „podstępu" napewno nie zauważy.



Fig. 1. Fig. 2.
(Mody — 1913 r.)



Fig. 3. Fig. 4. Fig. 5.
(Mody — 1912 r.)



Łódź — Piotrków — Kalisz.

Są u nas kwestje niezmiernie ważne, niezmiernie palące, które mają swoje fale powrotne. Te fale przypływają co lat kilkanaście, ażeby znowu odpłynąć w przestrzeń dalszą.

Taką falą powrotną dla Łodzi jest sprawa stworzenia w niej ogniska władz gubernialnych i sądowych.

Już w r. 1893 sprawa ta była żywo poruszona. Dn. 27 stycznia owego roku w łonie magistratu łódzkiego toczyły się długie rozprawy nad tą kwestją a w kilka dni później odbyło się posłuchanie radnych u gubernatora piotrkowskiego. Motywy były bardzo przekonywające i zdawało się, że sprawa przeniesienia władz gubernialnych z Piotrkowa do Łodzi weszła na dobrą drogę. Ale droga ta miała mnóstwo manowców, na które gdzieś zeszła sprawa Łodzi jako miasta gubernialnego i znikła aż do r. 1911-go, w którym na nowo ją poruszono a nawet poczyniono pewne zabiegi. Między innemi kwestją tą zajął się łódzki komitet giełdowy i opracował nawet dla władz ministerjalnych memorjał odpowiedni. Główną treścią projektu z r. 1911-go było: Przeniesienie siedliska guberni Kaliskiej z Kalisza do Łodzi, z dołączeniem do gub. Kaliskiej powiatów Łódzkiego i Łaskiego. Tym sposobem projekt ten znacznie się różni od projektu z r. 1893, gdyż pozostawia we względnym spokoju Piotrków a czyni zamach na Kalisz, przyczem Łódź znalazłaby się w obrębie gub. Kaliskiej. W Łodzi mieliby miejsce urzędowania: gubernator, wice gubernator, zarząd gubernialny i Komisja do spraw włościańskich, a w Kaliszu pozostałyby: sąd okręgowy, zarząd żandarmerji i zarząd akcyzy.

Otóż, zdaniem łódzkiego Komitetu giełdowego, takie połowiczne rozstrzygnięcie doniosłej dla mieszkańców Łodzi sprawy co do przyszłej nowej guberni, nie może zadowolnić sfer przemysłowo - handlowych, gdyż Łódź, jako miasto gubernialne, powinna stanowić niezależną od gub. Kaliskiej lub Piotrkowskiej jednostkę administracyjną ze wszystkiemi odpowiedniemi instytucjami. Postanowiono więc udać się do ministra handlu i przemysłu z prośbą o wyjednanie, aby bez względu na to, w jaki sposób będzie rozstrzygnięta ta sprawa, w Łodzi był utworzony sąd okręgowy i izba skarbowa, których brak dotkliwie daje się odczuwać.

Komitet giełdowy dn. 29 grudnia 1911 r. posłał ministrowi memorjał odpowiedni, w którym wskazał trudności, jakie stwarza brak sądu okręgowego w mieście, liczącem przeszło 500 tysięcy mieszkańców. Prowadzenie spraw w Piotrkowie powoduje stratę czasu i zwiększa koszty procesu wskutek konieczności przejazdów z Łodzi do Piotrkowa procesujących się stron, obrońców, świadków, ekspertów i t. d.; utrudnia otrzymanie różnych zaświadczeń i kopji; utrudnia osobistą obronę swych spraw; naraża na straty skarb wskutek częstych przyjazdów do Łodzi sądu okręgowego na sesje dla osądzenia spraw kryminalnych; powoduje obciążenie sędziów pokoju w Łodzi sprawami wobec tego, że w Łodzi często zobowiązania są drobnione na sumy do 300 rb., aby mieć możność wytoczenia sprawy na miejscu w Łodzi zamiast w Piotrkowie. Często bywa, że przy znacznym nawale spraw w sądzie okręgowym w Piotrkowie, sprawa, wyznaczona na dany dzień, dla braku czasu nie jest rozpatrywana i procesujące się strony, tracąc cały dzień w Piotrkowie, wracają do Łodzi, aby po kilku dniach w tej samej sprawie znów pojechać do Piotrkowa.

W memorjale swym Komitet giełdowy wskazał również utrudnienia, wynikające z braku w Łodzi gubernialnego wydziału hypotecznego. Dzisiejsze przedmieścia Łodzi: Bałuty, Chojny, Żubardź i t. p., zabudowywują się, wzrasta ilość tranzakcji, wynikających z kupna i sprzedaży nieruchomości na tych przedmieściach, których ludność przewyższa liczbę mieszkańców wielu miast w Królestwie Polskiem. Np. gmina Radogoszcz liczy 110,000 mieszkańców, gmina Bruss 12,000, gmina Chojny 20,000 i t. d. Prawo zalicza jednak te przedmieścia do osad gminnych i księgi hypoteczne tych włącznie miejskich, a formalnie gminnych nieruchomości, są w Piotrkowie, co powoduje konieczność, dla łatwo zrozumiałych względów, zawierania tam wszelkich aktów, dotyczących tych nieruchomości.

W analogicznych warunkach są również właściciele nieruchomości i mieszkańcy Łodzi, którzy z braku gubernialnego wydziału hypotecznego nie mogą wnosić aktów bezpośrednio do ksiąg hypotecznych. Przy obecnych warunkach między sporządzeniem aktu u rejenta i wpisanego do wykazu hypotecznego mogą zajść w stanie hypoteki niespodziewane zmiany i narażanie kontrahentów często na bardzo znaczne straty.

Wreszcie wskutek braku sądu wyższego w Łodzi, osoby zainteresowane muszą dowiadywać się w Piotrkowie o zawieranych w Łodzi aktach spółki lub intercyzy przedślubnej.

W memorjale swym Komitet giełdowy wskazał również konieczność utworzenia w Łodzi Izby skarbowej, ponieważ Łódź płaci rocznie przeszło $1\frac{1}{2}$ miljona rubli podatku przemysłowego i wszystkie sprawy, związane z opłatą tego

podatku, są rozstrzygane w Piotrkowie, to powoduje znaczne koszty i stratę czasu dla osób interesowanych.

Sprawa ta była energicznie poparta w Petersburgu i już szły stamtąd wieści, że wkrótce będzie ona rozstrzygnięta w sposób pomyślny dla Łodzi. Dały się nawet spostrzegać pewne objawy zainteresowania się sfer ministerjalnych tą kwestją.

Ale Piotrków i Kalisz nie zasypiały również swych interesów. Ani jeden, ani drugi nie chciały swych praw i przywilejów ustąpić na rzecz Łodzi. *Zenon Pietkiewicz.*

(d. n).

Przed bramą Helenowa.

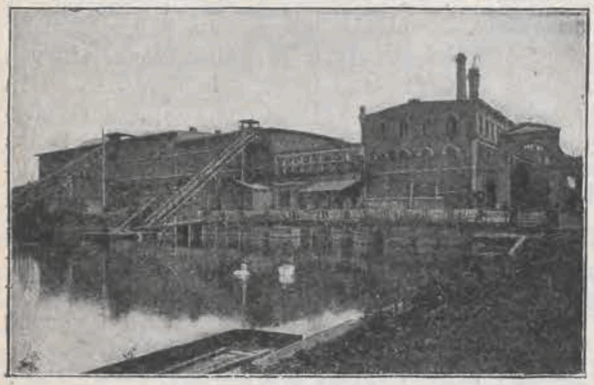
Przed bramą parku w Helenowie stoi gromadka dziatwy wybladłej, o cerze zielonkawej i oczach mocno podsiniałych. Co kilka minut zajeżdża tramwaj, z którego się wysypuje publiczność świątecznie ubrana i spieszy do ogrodu.

Zdaleka dochodzą odgłosy muzyki. Cienista aleja o świeżej zieleni majowej, nęci oko

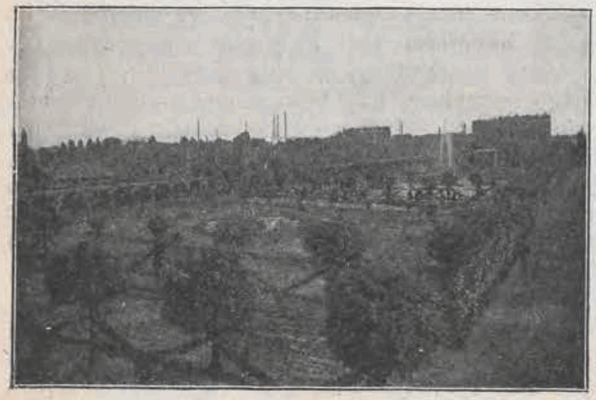
— Ach! jak tam ładnie! — woła dziewczynczynka i uśmiecha się blademi, anemicznemi ustami, które pokazują szereg zębów zepsutych, zczerniałych.

— A czy ty wiesz, Mańka, że tam są różne zwierzęta zamorskie w klatkach.

— Tam jest restauracja! Panowie siedzą, słuchają muzyki, jedzą i piwo piją. — Dorzucił chłopak o rachitycznych nogach i przełknął ślinę, która się potoczyła do pustych trzewi.



Staw w parku helenowskim.



Szpalery i drzewa kuliste w parku helenowskim.



Malownicza grota w parku helenowskim.



Schody, prowadzące do górnej części parku helenowskiego.

— Tam je taka woda duża, na niej łódki stojom ładne, koło takiego budynku na wodzie.

— Tam jest taka dziwna altana z kamieni, które wiszą jak w zimie lód na dachu tej chałupy gdzie mieszkamy.

— To nie altana, to „grota".

— Skąd ty wiesz, Walek?

— Ociec mój bywa tu u stróża, który mówił.

— A ty tam chodzisz?

— Nie! nie puszczajom!..

Przed bramą staje jakaś staruszka, podtrzymywana pod rękę przez wątłą, przyzwoicie, lecz skromnie ubraną dziewczynę.

— Jak tam ładnie! zielono! Ławki są. Chodźmy, posiedzimy trochę...

Wchodzą, lecz im drogę zastępuje stróż:

— Bilety są... Niema?!.. To jazda! Tu nie można bez biletów. Dziś muzyka!

— Szkoda! szkoda! — mówi z rezygnacją staruszka...

— Można jutro, w dzień powszedni! — dorzucił łagodniej stróż.

— Jaka to szkoda, że tak daleko mieszkamy i że ty, Franiu, w dzień powszedni wracasz dopiero o 9-ej wieczorem z pracy. Przyszłybyśmy i posiedziały tutaj...

— Czego gapicie się łobuzy? Idźcie precz! Może chcecie gałęzie łamać i kwiaty obrywać?— zawołał ten sam stróż gniewnie do gromadki dziatwy.

— Ee... co tu stać! Goniom nas! Chodź, Walek, zabawimy się w policjanta i bandytę na placu, koło cyrku...

Heron.

POPULARYZACJA WIEDZY

Z postępów wiedzy i pracy.

Walka o byt w świecie roślinnym.

Żadna roślina nie może się obejść bez pożywienia, wody i ciepła. Wszędzie, gdzie tylko zjawia się brak jednego z tych kardynalnych czynników życia, roślina, tak napozór „łagodna" — poczyna toczyć okrutną walkę o byt; walka ta odbywa się wszędzie: w krajach podbiegunowych, kędy przez pół roku trwa mroźna noc, w gorącej pustyni, w mroku jaskiń, na dnie oceanu i t. d. Brak pożywienia nie jest jeszcze najgorszym wrogiem rośliny, gdyż niema chyba miejsca na ziemi, gdzie, mało wymagająca roślina nie znalazłaby życiodajnej gleby. Nawet na obnażonej skale, plasmodja wiodą nędzny żywot i przygotowują grunt dla innych roślin jak np. dla mchów, zadawalniając się nieznaczną ilością wody. A niektórym mikroskopijnie małym wodorostom wystarcza zaledwie dostrzegalna warstewka gleby na śniegu i lodzie. Pewien rodzaj tych wodorostów wywołuje w czasie zimy czerwonawe zabarwienie śniegu, które przez długi czas stanowiło niepojęty i zagadkowy fakt. Przy spoglądaniu na owe, tak niesłychanie mało wymagające rośliny, mimowoli nasuwa się porównanie ich z bogatymi rozrzutnikami królestwa roślinnego — z roślinami owadożerczemi. Rośliny te żyją w miejscach bagnistych, i chociaż nie gardzą zwykłem pożywieniem, przekładają jednak nad nie mięsne „potrawy". Niektóre są tak żarłoczne, że potrafią z pomocą specjalnych gruczołków na liściach — strawić kawałek mięsa lub jajko na twardo. Tak samo jak człowiek, rośliny prócz głodu, odczuwają także pragnienie, silniejsze nawet, niż ludzkie. Zerwany kwiatek schyla główkę, wnet po wyparowaniu zawartej w nim wody. Rośliny nie rozporządzające dostateczną ilością wilgoci, nie są w stanie chłonąć z gleby substancji pożywnych.

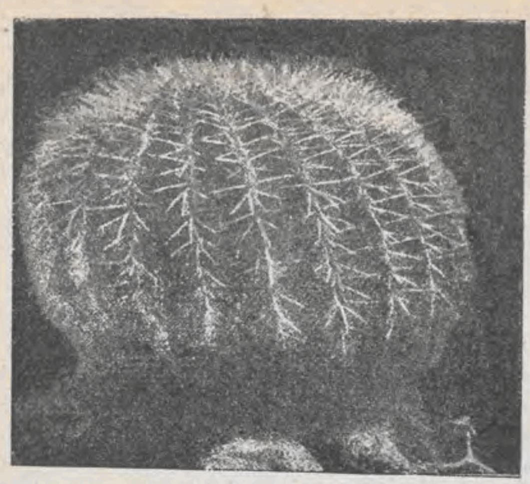
Niektóre rośliny nagromadzają mnóstwo wody; w najbardziej suchej roślinie, woda stanowi 50—60% jej wagi. Istnieją wodorosty, w których woda stanowi 98% całej wagi. Ale cóż ma począć roślina w nieogarnionej pustyni, lub okolicy podbiegunowej, gdzie wszystko zamarzło i twarde jest jak kamień?

Ludzie uważają się za przedsiębiorczych pod każdym względem, ale gdy zjawia się potrzeba, roślina okazuje się, bezwątpienia, o wiele więcej przedsiębiorcza. Jednym z najczęściej stosowanych środków przeciwko zasychaniu, jest zmniejszenie powierzchni rośliny, uniemożliwiające zbyt obfite parowanie wody (patrz rys. 1). Liście rośliny stają się grubsze i krótsze, zazwyczaj zrastając się w nieforemne, mięsiste woreczki, zbliżają się do kształtu kulistego, który ze wszystkich ciał jednakowej objętości posiada najmniejszą powierzchnię (patrz rys. 2). Skutki takiej redukcji, mówią, same za siebie. Kaktus, w kształcie kuli w tym samym czasie traci 6000 część ilości wody, którą w takim samym przeciągu czasu traci pnąca się afrykańska roślina A r i s t o l o c h i a, ważąca tyleż, co ów kaktus; czyli, mówiąc innemi słowy, A r i s t o l o c h i a, w 6 dni traci taką ilość wody, jaka starczy kaktusowi na 100 lat. Wiele roślin wydziela grube warstwy wosku, wedle możności osłabiając intensywność parowania. Inne znów chwytają się wielce skutecznego środka: oto wydzielają mnóstwo śluzu, substancji gumowych i soli, chciwie wchłaniających wodę, podczas deszczu. Roślinom pustyń, nic innego nie pozostaje, jak wyszukiwanie wody podskórnej (t. j. podziemnej). Mikroskopijnie mała roślinka często kroć na kilka metrów zagłębia swój, długi, nierozgałęziony korzeń, który pod ziemią szuka wody. Podczas kopania kanału Suezkiego, na dnie jego natrafiono na korzenie drzew, rosnących na dosyć wielkiej wysokości.

Nie trzeba się dziwić, jeśli owe rośliny, które z takim trudem zdobywają możność wegetowa-



Rys. 1. Gałąź australijskiej rośliny, która zmniejszyła swe liście żeby zmniejszyć powierzchnię a przez to i ilość wyparowywania wody. S — pień; B — zmniejszone liście; b — resztki dużych liści.



Rys. 2. Kulisty kaktus, dosięgający nieraz 3-ch metrów wysokości, zawiera w sobie 800 litrów (80 wiader) wody.

nia, przybierają niekiedy dziwaczny i brzydki wygląd. W ciężkiej walce o byt, roślina nie przypisuje żadnej wagi temu co czyni ją piękną i miłą dla oka. Zamiast przepięknych liściastych roślin, spotykamy nędzne ciernie, osty i in. bynajmniej nie imponujące swym zewnętrznym wyglądem. Na pustyni, grozi roślinom niebezpieczeństwo pożarcia przez głodne zwierzęta. Ale i temu niebezpieczeństwu potrafią one zaradzić. Bronią się za pomocą twardych i ostrych kolców, lub odbierają napastnikom apetyt swym gorzkim, ohydnym smakiem.

Rośliny potrafią również wykorzystać, jeszcze jedną możliwość utrzymania się przy życiu w suchych miejscowościach ziemskiego globu. W tych krainach, gdzie deszcze padają tylko przez krótki okres czasu, (np. w stepach) roślina wyrasta, kwitnie i owocuje przez ten okres. A kiedy znów następuje okres suszy, nadziemne części rośliny obumierają, i sama roślina dalej żyje pod ziemią, w cebulach, kłębach, cierpliwie wyczekując pory deszczowej.

(dok. nast.)

KRONIKA POPULARYZACJI WIEDZY.

Kultura tkanek ludzkich.

Słynny biolog, francuz, pracujący w instytucie Rockefellera w Nowym Jorku, dr. Alexy Carrel, dokonał nowego, niezmiernie ważnego odkrycia naukowego, jak o tem referował w paryskiej akad. med. prof. Samuel Pozzi. Carrel odkrył, po wielu doświadczeniach, sensacyjny fakt, że komórki naszego organizmu, przedewszystkiem zaś te, które tworzą mięśnie, można kultywować tak samo, jak bakcyle.

Jak wiadomo, Carrel dowiódł, że część serca kurczęcia biła w normalny sposób więcej niż trzy miesiące po wyjęciu go z organizmu. Teraz dowiódł, że kultury tkanki łącznej pomnażają się szybko w początku piątego miesiąca ich istnienia poza organizmem.

Kolonje komórek tkanki łącznej, pochodzące z tej samej części serca, wyjętego z organizmu kurczęcia, czternaście miesięcy temu, rozwijają się teraz z wielką energją, przeszedłszy przez 166 do 167 zmian otoczenia.

Szybkość rozmnażania się tkanek zależy od składu materji, w których je umieszczono.

Carrel, drogą mozolnego badania, otrzymał pomnożenia komórkowe bardzo szybkie. Nie chodziło tu już o stwierdzenie samego zjawiska życia tych komórek poza organizmem, bo tego Carrel dowiódł już w szeregu poprzednich doświadczeń, ale o coś zupełnie nieoczekiwanego; o to, że komórki tkanki łącznej nietylko że mogą żyć poza organizmem, ale nawet się mnożyć w specjalnych kulturach, tak jak mikroby.

Kolonje komórek tkanki łącznej, które żyły więcej niż rok poza organizmem, zupełnie samodzielnie, zachowały zdolność do powiększenia swej objętości i rodzenia mnóstwa innych kolonji. A więc tajemnicę życia będzie można teraz badać w laboratorjach nowemi metodami. Komórki, z których składa się ciało nasze, uwięzione w rurkach szklanych, będą mogły stosownie do woli uczonego, umierać lub mnożyć się i wzrastać. Odkrycie to może wywołać przewrót w biologji, a zapewne też w przyszłości w medycynie.



Łoś — coraz rzadszy mieszkaniec europejskich bagnisk i lasów.

Niezwykle wielki łoś.

Podróżujący po Azji północnej, prof. Peters, zastrzelił ze sztucera niezwykłej wielkości łosia. Miał on przeszło 2 metry wysokości. Normalny wzrost łosia nie przekracza zazwyczaj $1\frac{1}{2}$ metra. Łoś należy do zwierząt parzystokopytnych. Niedyś lasy środkowej Europy obfitowały w tę zwierzynę. Obecnie ilość ich zmniejsza się, wprost, z każdym rokiem.

Oryginalna bibljoteka.

Po ogłoszeniu nowej konstytucji w Turcji, zezwolono nareszcie cudzoziemcom na zwiedzanie bibljoteki św. Zofji w Konstantynopolu, o której istnieniu, nawet mieszkańcy stolicy ottomańskiej nic dotąd nie wiedzieli. Założona niegdyś przez sułtana Machmuda (1142 — 1158) bibljoteka ta—jest bodaj że najbardziej oryginalna ze wszystkich obecnie istniejących. Zawiera tylko 2000 tomów, lecz ani jednego drukowanego; są to wyłącznie rękopisy.

W niewielkiej sali, przylegającej do meczetu św. Zofji, który był niegdyś chrześcijańską bazyliką na szerokich półkach ogrodzonych grubą, drucianą siatką, leżą wielkie paki rękopisów, związane sznurami, jak towar.

Nazewnątrz ściany gmachu bibljotecznego pokryte są białą gliną; wewnątrz zaś zdobi je subtelna perska mozaika. Koroną gmachu jest płaska kopuła, wyłożona emaljowaną cegłą. Wązkie okna, zamknięte są na ciężkie, żelazne okiennice. Bibljoteka owa nie posiada ani jednego katalogu. Zresztą, niewielu ludzi potrafiłoby odczytać te starożytne rękopisy, od wieków spoczywające w pyle na swych półkach. Szafa, w kształcie meczetu, zawiera dwanaście najrzadszych rękopisów. Szafa ta, wyłożona masą perłową, ma już przeszło 2000 lat, i stanowi prawdziwe dzieło sztuki. Każdy, ze znajdujących się w niej tomów, pisanych przed 3000 lat, wart jest conajmniej 50,000 franków. Niektóre rękopisy napisane są w klasycznym języku turków pierwotnych z Turkiestanu.

Języka tego nikt już teraz nie zna, prócz kilku mędrców chiwajskich, dla których dostępny jest tekst owych rękopisów. Znajduje się tam również wspaniały wzór kaligrafji oprawny w złoto. Jest to, podobno, tatarski poemat „Dywan“ napisany w 911 roku przez Husseyna Biskara, jednego ze znakomitych poetów tatarskich.

Przed kilkoma wiekami, jeden z tureckich sułtanów, otrzymał ów rękopis w darze od szacha perskiego. Poemat ten napisany jest po persku; każdą stronicę, zdobią barwne winiety i złote wycinanki. Oprawa jest wprost przepyszna. W szafie tej schowane są dwa rękopisy sanskryckie — jest to prezent, jaki otrzymał Mahomet Wielki od szacha perskiego. Spoczywa tam również wspaniały rękopis, zwany „Nargai“. Znajdują się w nim notatki Mahometa Zwycięzcy. „Nargai“ składa się z różnokolorowych, pergaminowych kartek, rogi i brzegi stronic zdobi złota siatka i przecudne fjorytury subtelnych arabesek. Obok leży tom rozprawy o gwiazdach. Oprawa skórzana, upiększona emalją z inkrustacją z drobnych perełek. Jest to prawdziwe chef-d'oeurre.

Ale najbardziej godny uwagi, jest olbrzymi tom in folio (wymiar 3,5 metr. × 5 metr), napisany na najdelikatniejszym pergaminie, prześlicznym charakterem pisma. Jest to kopja z traktatu o botanice i medycynie, znanego pod tytułem „Zasada medycyny“, którego autorem był Awixena, słynny, arabski lekarz, zwany „księciem lekarzy.“

Dzieło to zawiera 300 stronic ilustrowanych rysunkami zwierząt i roślin, wykonanymi z realistyczną dokładnością szczegółów. Prawie każda, większa europejska bibljoteka posiada kopję z tego znakomitego dzieła, ale żadna z nich nie odznacza się taką subtelnością wykonania i bogactwem upiększeń, jak kopja, znajdująca się w bibljotece św. Zofji.

Cel wypraw podbiegunowych.

Niejeden zadaje sobie pytanie: na co są potrzebne wyprawy do biegunów? Wiedząc, że pożytek z wypraw takich nie jest zrozumiałym dla ogółu, odkrywca południowego bieguna, Roald Amundsen w ostatnim zeszycie „American Scandinavion Review“ wyłuszcza doniosłość i korzyści wypraw podbiegunowych.

„Na co służą wyprawy polarne?—pisze. — Spotykam się często z wątpliwościami co do ich pożytku, z zarzutami nawet: że jednostki wybitnie szafują życiem niepotrzebnie, że pozbawiają ludzkość sił swoich, że wyprawy kosztują zawiele pieniędzy i energji w stosunku do osiąganych zdobyczy. Taki zarzut stawiany będzie i tej wyprawie, do której się teraz gotuję, dążąc ku północnemu biegunowi, na co ja i moi towarzysze poświęcimy pięć do siedmiu lat życia i sumy znaczne.

Czy warto?

„Odpowiedź moja taka: warto zawsze rozszerzać ramy ludzkiej wiedzy. Winniśmy poznać od krańca do krańca małą planetę, na której żyjemy. Dokonać tego zdołają tylko—uczeni. Oni zawsze zdobywają pierwsi to, co następnie wzbogaca życie codzienne i wychodzi na pożytek ludzkości“.

W dalszych swoich wywodach Amundsen wyłuszcza znaczenie i wpływ stref polarnych na całą kulę ziemską. Ostatnie badania wykazały, że bieguny utrzymują w równowadze gospodarkę wewnętrzną ziemi.

Gdyby siła ich oddziaływań zanikła, cała płodność ziemi ustałaby odrazu. Nową jeszcze, ale już udowodnioną i niezbitą jest prawda: że siła i życie płyną od biegunów. Ostatnie badania wykazały niesłychaną doniosłość wpływu prądów zimnych na rośliny i zwierzęcy świat oceanów.

„Gdyby moja wyprawa antarktyczna—pisze Amundsen — nie dała żadnego innego wyniku, jak tylko zbadanie prądów polarnych, ich kierunku, ich szybkości, życia roślin i zwierząt na drodze ich przebiegu, to i w takim nawet razie korzyści jej byłyby znaczne.

„Ale są po za tem inne. Stanowią je badania meteorologiczne. W tej dziedzinie współpracowałem z profesorem Hergesell, pomocnikiem hr. Zeppelina. Uczony profesor ma nadzieję utworzenia czterech obserwatorjów meteorologicznych dokoła polarnego basenu. Jedno, po którem krążyć będzie mój „Fram“ w Alasce, drugie na Syberji, trzecie na Szpicbergu, czwarte w Labradorze. „Fram“ dzięki telegrafom bez drutu będzie ciągle w połączeniu z temi stacjami. Zdołamy jednocześnie

przedsiębrać i komunikować sobie nasze obserwacje nad wiatrem, nad stanem atmosfery i zbadać daleko większą przestrzeń, niż to było dotychczas możliwem. Tak samo rozszerza się obserwacja w zakresie prądów powietrznych. Te prądy właśnie regulują warunki atmosferyczne całej kuli ziemskiej. Kierownik instytutu Carnegie, A. Bauer, na statku „Carnegie“, połączonym również telegrafem bez drutu z „Framem“, przeprowadzać będzie badania magnetyczne. Poraz pierwszy dwa okręty przy biegunie służyć będą wzbogaceniu wiedzy. To też doniosłość takich wypraw jest wprost nieobliczalna—bezcenna“.

Aeroplany w Afryce środkowej.

W Brukseli odbywały się ostatnio posiedzenia specjalnej komisji, obradującej nad kwestją zastosowania aeroplanów w Kongo. Obecnie w tej niezmierzonej krainie buduje się tor kolejowy i jakieś akcyjne przedsiębiorstwo zakłada drogi i szosy. Ale istnieją w Kongo nieprzebyte przestrzenie grzęzawisk i zastępów leśnych, przez które nie będzie można przeprowadzić toru kolejowego ani dróg. I oto w Belgji powstała myśl, aby nieprzebyte miejsca w Kongo przebywać drogą powietrzną. Rzecz prosta, że projekt ten nie da się odrazu urzeczywistnić. Komisja ostatecznie zdecydowała wyczekiwać na wynik prób z aeroplanami, które odbywają się we Francji. Program przedsięwzięcia jest już opracowany, i w przyszłym roku zamierzają ustalić przynajmniej jedną linję. Z początku odbędzie się próbny lot, przez pustynię, długości 1200 kilometrów. Stacje zbudowane będą na przestrzeni 400 kilometrów jedna od drugiej — oraz zaopatrzone w telegraf bez drutu. Każdy aeroplan będzie miał trzy siedzenia (dla pilota i 2 pasażerów) oraz wielki zapas przyborów, wody, benzyny i t. d. W tym celu wyasygnowano już 320,000 marek.



Odpowiedzi Redakcji

Interesującemu się „Warszawską Kooperatywą Drzewa“. Spółka, jak pisaliśmy w wzmiance w poprzednim 19-ym numerze „Złotego Rogu“ mieści się na posesji firmy Br. Bevensee przy ul. Czerniakowskiej № 75. Zarząd Kooperatywy stanowią pp. Baum August — prezes, Jaszczołt Adam — skarbnik i Barszczewski Jan oraz jako zastępcy pp. Skrzędziewski Feliks — sekretarz i Daab Maksymiljan. Komisję rewizyjną tworzą pp. Horn Maksymiljan, Martens Maksymiljan i Kreczmar Henryk. Kooperatywa ma widoki rozwoju, wobec korzystnego ułożenia się obecnie konjunktur w przemyśle i handlu drzewnym. To też przedsięwzięcie inicjatorów jest bardzo na czasie i winno być przez ogół szczerze popierane.

P. W. Mal. z Wł. Nadesłane utwory znamionują pewne zdolności, nic jednak na przyszłość nie możemy wróżyć, są to wierszyki zbyt ulotne, a choć składne i ładne nie dają jeszcze miary o rzeczywistym talencie.

P. K. Lis. z Wil. Za miłe wyrazy uznania dziękujemy. Sz. Pan mylił się myśląc, że może listy od prenumeratorów nas nudzą. Przeciwnie, radzi bardzo jesteśmy gdy Szanowni nasi Czytelnicy są z nami w blizkim, stałym i przyjacielskim kontakcie.

P. S. Row. z Łodzi. 2 komplety „Złotego Rogu“ wysłaliśmy za zaliczeniem pocztowem.

PREMJUM ARTYSTYCZNE „ZŁOTEGO ROGU“.

W dniu 15 b. m. o g. 7-ej wieczorem w obecności osób zaproszonych ze świata literackiego i artystycznego, członków naszej redakcji oraz personelu administracji odbyło się przyznanie artystycznego premjum za m-c kwiecień czterem szczęśliwym wybrańcom losu z pomiędzy naszych prenumeratorów, odpowiadających warunkom poprzednio przez nas ogłoszonym. Po ujawnieniu nazwisk, stwierdzono — że 1) obraz H. Piątkowskiego „Zbiór owoców“ przypadł w udziale p. Olgierdowi Pożarskiemu z Rygi ul. Derycka № 55 m. 20; 2) P. Rosena „Studjum“ — p. Martynowi z Jakubiec poczta Chrystynówka (Półn. zach. dr. żel.); 3) P. Rosena „Studjum“ — ks. Ludwikowi Mocarskiemu z Sannik w gub. Warszawskiej; 4) J. Łuczyńskiej „Główka“—p. Jatymowiczowi z Warszawy, Złota 83 m. 30. Reprodukcje obrazów umieścimy w jednym z następnych numerów.

TADEUSZ JAROSZYŃSKI.

16)

BOHATER.

POWIEŚĆ.

VII.

Panna Krystyna musiała zmienić swoje plany.

Po potyczce na drodze czekał ją jeszcze cały szereg przykrych niespodzianek. W Kraskach nie zastała nikogo. Dwór cały spustoszony, jak po przejściu Hunnów. Postój kozacki znaczył się zniszczeniem na każdym kroku. Powybijane okna, potrzaskane sprzęty w pokojach. W salonie w kominku tlały jeszcze resztki złoconych mebli w stylu Ludwika XVI. Potłuczone szkło zalegało komnaty.

Nieproszeni goście, dostawszy się snadź do piwnic, wyprawiali sobie sutą libację, którą im przerwał nagły alarm. Tłukli więc pozostałe butelki starego węgrzyna i strugi jego spływały po posadzce.

Co się stało z matką?

Służba się rozbiegła również i niepodobna było zasięgnąć języka.

Po długich poszukiwaniach, pod żłobem w oborze odnaleziono starego pastucha. W chwili paniki zaszył się w słomę i przetrwał tam noc niespokojną nie śmiejąc wytknąć nosa. Przed ukryciem się jednak widział, że dziedziczka w chwili napadu na dwór zdążyła wsiąść do zaprzężonych właśnie sani i z podwórza za owczarnią, wyjechała gdzieś drogą polną.

Niewątpliwie musiała skierować się wprost do chorążego, gdzie spodziewała się zastać córkę.

Czy jednak szczęśliwie udało jej się przebyć drogę niebezpieczną.

Panna Krystyna załamała ręce.

Tymczasem nowe ciężary spadały na jej barki.

Ułani wnieśli do pokoju rannego porucznika.

Dwa tęgie cięcia pałasza w głowę wymagały natychmiastowego opatrunku. Krew z ran uchodziła gwałtownie, zalewając całą twarz, że pokryła się niby potworną larwą z zakrzepłych sopli.

Panna Krystyna zajęła się ratunkiem narzeczonego. Nie miała jednak w tym zakresie należytego doświadczenia.

Traciła głowę.

Dwuch ułanów ciężko rannych, których znaleziono w śniegu na drodze i wniesiono również do dworu, jęcząc, dopominało się o pomoc. Wacław, choć zdobywszy się na najwyższy wysiłek, dźwignął się z sań i rad był siostrze dopomódz, za swojemi odmrożonemi, popuchniętemi rękoma na wiele się przydać nie mógł. Objął jednak komendę nad tą akcją ratunkową i z zimną krwią żołnierza przywykłego do podobnych wydarzeń, zapanował w pewnym stopniu nad sytuacją.

Hej chłopcy, poszukać tam gdzie balji, cebra i przynieść wody jak najwięcej. A ty, siostro, rzekł, zwracając się do Krystyny postaraj się o trochę czystej bielizny, tylko spokojnie!

Panna Krystyna pod wpływem tego nakazu odzyskała panowanie nad sobą.

Wśród stosu zwalonych w nieładzie bielizny, ubrań i sprzętów najrozmaiszego użytku odnalazła dwa świeże prześcieradła i darła je na bandaże. Ułani znosili wodę w ocalonych od pogromu garnkach, wazonach, dzbanach.

Niebawem porucznik siedział już na kanapie z głową owiązaną białymi bandażami. Blady był, ale trzymał się o własnych siłach. Rany na głowie jakkolwiek szerokie, więc powodowały znaczną utratę krwi, nie były jednak niebezpieczne. Kość nie zosta-

ła naruszona. Cięższa sprawa była z jednym z ułanów, który otrzymał ranę postrzałową. Kula przebiła mu obojczyk i uwięzła gdzieś pod łopatką. Oczywiście niepodobna było myśleć o jej usunięciu, a tymczasowy opatrunek jaki żołnierzowi nieumiejętnemi rękoma nałożyła panna Krystyna nie sprawiał mu ulgi. Poprzez grube warstwy płótna występowała krew bezustanku, co do rozpaczy doprowadzało dziewczynę.

Jakże żałowała, że nie zdobyła dotąd umiejętności doraźnego ratownictwa. O odnalezieniu chirurga w tych stronach nie mogło być mowy, jak zresztą nie mogło być mowy, o pozostaniu z rannymi w tym dworze opuszczonym — dworze wystawionym na możliwość powtórnych odwiedzin kozackich.

W tej chwili właśnie wszedł adjutant, ów dowódca wyprawy, który po potyczce z dwoma żołnierzami wypuścił się na zrekognoskowanie okolicy.

Wiadomości jakie przywiózł nie były zbyt pocieszające. Oddziałek, który zastano w Kraskach, był przednią strażą znaczniejszych sił kozaków Płatowa, co kazało przypuszczać, że pójdą dalej i niebawem cały ten kraj zaleją. W sąsiednich wioskach stały mocne komendy, które posuwać się mają ku Warszawie, napierając na resztki cofającej się armji.

— Będziemy ich tu mieli za parę godzin—wołał podniecony—i jako mniemam, zechcą nam serdecznie podziękować za to, żeśmy im tu trochę bigosu narobili; pono oficer, którego porucznik Grabowski szpadą przewiercił, miał być jakąś znaczną wśród nich personą, co mi to kozak jeden, wzięty przez naszych ułanów nader szeroko klarował. Radziłbym tedy—mówił dalej—nazbyt długo w tych miejscach nie popasać i naszych rannych zabrawszy, a nogi za pas; co rychlej wojsko nasze dopędzić.

— Jakże—kłopotała się panna Krystyna zabrać tych rannych, skoro w stajni ani jednego konia nie mamy?

— I o tem pomyślałem łaskawa pani— rzecze dwornie oficer, bo oto sprowadziłem dwie chłopskie podwody, a i sobie zdobyłem szkapsko niezgorsze po owym oficerze, który, choć kozak, bynajmniej nie na kozackim koniu siedział. Mojego chmyza będzie można na przyprzążkę do waćpanny sanek założyć.

Tak to niebawem z Krasek wyruszył ku Sejnom korowód sani, eskortowanych przez garstkę pozostałych przy zdrowiu ułanów. Panna Krystyna nalegała, ażeby drogę obrócić w kierunku majątku wuja chorążego, ażeby się tam spotkać z matką. Pan dowódca zgodził się na to najchętniej i w niecałą godzinę stanęli przed kołowrotem dworu. Nikogo już jednak i tu nie zastali. Chorąży z sędziną wyruszyli w stronę, w którą i im jechać wypadało—ku Sejnom.

Zastali tam dziwną uroczystość. Po raz pierwszy na tej wojnie odbył się tu, przy odgłosie dzwonów kościelnych pogrzeb jej ofiar. Przeszło trzydzieści trumien wieziono na wozach, przeszło trzydzieści mogił przybyło szeregiem na cmentarzu, bo przeszło trzydziestu dzielnych żołnierzy ubyło z szeregu w ostatnich potyczkach pod miastem.

Całe miasto wyległo na te smutne obrzędy. Tłumy były ogromne, zwłaszcza, że w tym czasie właśnie zjechało tam mnóstwo obywatelstwa spotykać powracających z wojny rodaków. Niektórzy, pogrążeni w najwyższej rozpaczy zalewali się nieukojonemi łzami żalu, dowiadując się o śmierci synów, braci, inni nie posiadali się z radości, spotkawszy tych, których spotkać pragnęli.

Istotnie manifestacje radości tej nie miały zda się granic. Ludzie ściskając się bez upamiętania, krzyczeli, śmieli się, podskakiwali w górę, jak szaleńcy, to znowu łkali— zalewali się nieukojonemi łzami radości.

Panował tu jakiś niezwykle mocny, niezwykle podniecony nastrój uczuć. Napięcie ich sięgało nieprawdopodobnie wysokiego diapazonu. Było coś delirycznego w sposobie objawiania się żalu i radości.

A jednak—mimo klęsk, mimo żałoby, mimo najsmutniejszych przeczuć na przyszłość, przeważał tam, zda się, ton radości. Objawy jej były jakby głośniejsze, jakby powszechniejsze, jakby bardziej bezwzględne i niepohamowane.

(d. c. n.)

STEFANJA ZAJASZEWICZOWA.

REWOLUCJONISTA.

NOWELA.

Pustelnia była miejscem na smutek łaskawem.

Iza Horska znalazła w niej to, czego w obecnym nastroju potrzebowała przedewszystkiem: spokój, ciszę i samotność zupełną.

Dziwnie polubiła ten dwór stary, okolony kasztanami. Modrzewiowe ściany kryły się prawie w gąszczu ametystowego bzu i rumianych krategusów.

Za dworem zieleniał zdziczały i zagajony ogród, pełen brzęku owadów i ptasich świergotów.

Iglaste bory opasywały pierścieniem Pustelnię. Nad nimi majaczyły, niby chmury postrzępione, płowe Tatr zarysy.

Leśniczy Porębski oddał pół dworu do Izy rozporządzenia za umówioną opłatą. Nalegała, żeby odstąpił i drugą połowę, odmówił jednak stanowczo.

— Jaśnie panu może się podobać przyjechać... Jak dusznego zbawienia pragnę, nie mogę na żaden sposób!—tłumaczył się leśniczy.

Iza przeraziła się.

Łaknęła samotności i dlatego wybrała na letni pobyt Pustelnię—kąt, zagrodzony borami od świata. Więc i tu nie będzie sama?

Porębski jednak rozwiał jej obawy, dowodząc długo i ozdobnie, że Pustelnia nie ma szczęścia do swojego dziedzica, bo nigdy go jeszcze w swoich ścianach nie przyjmowała.

Iza nabrała otuchy.

Rzeczywiście nikt nie mącił upragnionej samotności.

Służba snuła się po domu, jak duchy, wiedząc, że pani na nerwy chora i hałasu nie znosi. Jedna Anielka czasem zapominała o regulaminie i dźwięczny, młody śmiech lub półgłośna piosenka dzwoniły w prawie pustych pokojach.

Iza lubiła swoją szwaczkę i wybaczała jej nadmierną żywość usposobienia. Z przyjemnością patrzyła na jej świeżą twarzyczkę i uśmiechnięte oczy. Czasami odzywało się w jej duszy coś nakształt zazdrości. Szczęśliwa! ma lat osiemnaście i takie pogodne, radosne usposobienie!

Trudno Izie było pojąć, skąd się bierze wesołość w biednej dziewczynie, sierocie, i w dodatku zapracowanej nad strojami chlebodawczyni.

Natura płytka, bezmyślna... myślała, poczem przechodziła nad tą kwestją do porządku dzienego.

Codziennie dobrowolna samotnica odbywała długie przechadzki po lasach i polach, z psem tylko. Odkryła w głębi boru malowniczy wąwóz, ktory nazwała Jarem Śmierci, i przesiadywała w nim godzinami z książką, której nie otwierała wcale.

Myśli jej krążyły w jednem, zaczarowanem kole.

Nie chce żyć... nie ma poco żyć...

Straciła wiarę — wszystkie złudzenia... Dusza jej szamotała się pomiędzy biegunami egotyzmu i altruizmu, nie mogąc na żadnym się zatrzymać. Nie miała celu w życiu. Nie wiedziała, jak go sobie stworzyć...

Wyszła zamąż z szalonej miłości—otrzeźwiała prędko.

Inna, starsza, doświadczeńsza, więcej oczytana w erotomańskiej literaturze, wiedziałaby jeszcze przed ślubem, że miłość męża jest ową własnością, na której wieloletni serwitut przysługuje—kochankom. Ona przebyła całe piekło zawodu i rozpaczy. Zobojętniała wreszcie na wszystko.

Odtąd mroźna zima królowała w atmosferze ich obustronnych uczuć, w obejściu grzecznem i etykietalnem.

Cichy, zimny grób za życia.

W lat kilka owdowiała.

Była młoda, piękna, pożądana. Wiele chętnych ramion się wyciągało, by ją poprowadzić do ołtarza.

Ale Iza zrażona była do małżeństwa. Ceniła wolność i nie chciała jej stracić.

Odsunęła się od towarzystwa, wybrała na miejsce pobytu głuchą Pustelnię, by w samotności i ciszy zmagać się z dręczącem pytaniem:

Co za sens ma życie? Czy żyć—warto?

Odpowiedź dotąd wypadała zawsze ujemnie.

Jednakże, zdarzały się w Pustelni takie dni, gdy dużo jaśniej robiło się w myślach Izy. Cieszył ją wtedy każdy napotkany motylek lub kwiatek, — i te szmaragdowe, puszyste mchy, na które kładła się w malowniczej pozie, zaplótłszy ręce pod głową.

Szumiały nad nią drzewa tęskną kołysankę — przez rozchwiane gałęzie lała się z nieba szafirowa jasność, biła woń leśnej mięty i macierzanki od ziemi i żywicy od młodych sosen i świerków.

Zwolna jaźń jej jakby wsiąkała w przyrodę, unicestwiała się w tem połączeniu. Stawała się cząstką wszechbytu—upajała ją przesłodka, błoga tego roztapiania się harmonja.

Z wysiłkiem starała się zachować w sobie jaknajdłużej tę ciszę, niby drogocenny olejek Wschodu ustrzedz od ulotnienia, ochronić przed zawieruchą budzących się z omdlenia myśli...

Gdy raz, z takim spokojem w duszy, wracała do domu, przed gankiem zobaczyła Porębskiego.

Podniecony był niezwykle, a twarz jego miała barwę pieprzu tureckiego. Zdaleka wywijał trzymanym w ręku papierem.

— Jedzie! jedzie!

Iza otworzyła szeroko oczy.

— Kto jedzie?

— Jaśnie wielmożny dziedzic Alfred Gniewosz Zarzeński zjeżdża na rewizję lasów i zamieszka w Pustelni! uroczyście wygłosił Porębski, schylając z respektem głowę.

Iza uczuła dotkliwą przykrość.

Samotność przepadła!

Wyjechać stąd narazie było trudno. Do miasta wracać nie chciała, a innego letniska w pobliżu nie było.

Pozostanie, lecz unikać będzie spotkania z niepożądanym sąsiadem.

Zresztą, miał bawić krótko, przynajmniej tak zapewniał Porębski.

— Pan hrabia wie dobrze, że nad wszystkiem czuwa moja głowa i pomyślenie... mówił z dumą stary oficjalista, uderzając się dłonią po łysinie.

. . . .

(d. c. n.)



ZYGMUNT KAWECKI.

DZIEDZIC.

NOWELA.

Stary Poliński, przeczuwał, że kres doń zmierza. Olbrzymi korpus, przyrósł mu do śmiertelnych prześcieradeł, odleżałe boki przylepły do pościeli i cała maszyna przeobfitej doczesnej powłoki rozłaziła się z trybów, miękła, gąbczała niezdrowo, rzedła i szła ku koniecznym, bezimiennym dziełom przemiany.

Zażądał, by mu przyprowadzono wnuka, kilkunastoletniego Edwarda.

Naówczas żona jego, Teodora, mała kobiecina o krótkim kadłubie i okrutnych biodrach, zakrzątnęła się raźniej około zewnętrznych, materjalnych drobiazgów pielęgnacji.

Zastawiła posilny rosół—zmieniła ręczniki do okładów, kazała drobno porąbać lodu. Flaszeczki lekarstw ustawiła w bojowy szyk—sama zaś wzięła różaniec, omodlony, tłustawy, świecący.

Ale Poliński rosołu nie przyjął, na zabiegi lecznicze nie baczył.

Wszedł Edward.

Pani Teodora zaraz:

— Widzisz Edziu, dziadek nic nie słucha; jeść nie będzie, prześcielić sobie nie da—a na krople i nacieranie nawet niepozwala. Oj tak, tak—co poradzisz z dziwakiem.

— Skończyłaś już?—przerwał jej Poliński.—Idź się modlić, stara czarownico.

Teodora mamrocząc pacierze, przesunęła właśnie trzeci paciorek.

— Stenografuj zdrowaśki—mówił stary zjadliwie, śliniąc się—i zostaw nas. Daj mi umrzeć spokojnie, daj mi pobłogosławić chłopcu.

— O! dziadek sam nie wie, czego chce. Ty tego nie słuchaj Edziu... święta Marjo, matko Boża...

A podczas, gdy się pani Teodora modliła, wziął Poliński, chłopca za rękę i mówił doń, pauzując co chwila:

— Dziadek twój, uważasz Edziu, zcześnie niezadługo. Zostaje po nim ten hotel, około którego tyle się namordował. Pamiętaj co ci mówię—babka twoja i syn jej

z pierwszego małżeństwa zaczną tu gospodarkę taką, że za dwa, trzy lata pójdą z torbami. Ty, jako wnuk mój, nie doczekasz się pociechy z tej budy, którą oni rozniosą i zmarnotrawią. Ale nie dbaj o to—to wszystko jest przeklęte...

Babcia Teodora pomruknęła wśród słów bożych, słowo ziemskie: „stary dziabeł“...

— Taak... przeklęte,—podkreślił Poliński zwłowróżbnie.—Na dziady zejdą... kupiłem, rok temu, dwie trumny. Jedną dla mnie, drugą dla niej, twojej babki. Musiałyby się kiedyś księża i dewotki składać na pogrzeb. Miejsca już zapłacone na cmentarzu—pomyślałem o wszystkiem... Oh... pomyślałem... Teodora wyjdź do siebie...

Modląca się wyszła powolutko, westchnąwszy raz jeszcze z głębin żółci: „ot stary warjat“...

A Poliński:

— Już mi lżej. Zabrała się. — Oni by mnie tu struli. Może w tym rosole... ha... co? Wyjmno chłopcze z pod mej poduszki puzderko, i schowaj dobrze, bo skradną. Pamiątka po twej matce, precjoza. Schowaj dobrze. Obyś był szczęśliwszy odemnie.. obyś...

Tu stanął—zastanowił się—i milcząc pocałował wnuka w czoło.

Edward stał blady, pokorny, odrętwiały—chciał pytać—nie śmiał, chciał rozważać—bał się.

Polińskiego zapiekły rany u boków. Jęknął, wykrzywił twarz—potem patrzał długo w sufit, nieznośnie długo.

Chłopak pochwycił nagle jego rękę i podniósł do ust. Całując, uczuł na nich łzy słone, łzy własne, przez które młoda dusza wytrysła wobec smutnej zagadki, bezsilna ranna, pytajna.

Starzec zaś rzekł szeptem:

— Na co ci mam brudzić serce, na co, gdy się życie zaczyna, zasiewać gorycz..- Moja rzecz, moja żałość—niechże pójdzie ze mną!...

Gdy w kilka dni później Poliński ostatnią wyszafował parę—rzucono się w całym domu do kluczów, do kryjówek, pod poduszki...

Postrzeżono, że stary zakupił był sobie czyściutką bieliznę, skarpetki, pantofle śmiertelne i rękawiczki—na pudle zaś, które kryło tę zapobiegliwą garderobę nieboszczyków znaleziono kartkę ze słowami: „Macie mnie porządnie umyć, ogolić, zaczesać, przewdziać. Czarne ubranie wisi w szafie na pierwszym i drugim kołku. Uważcie, aby mi stara i tego nie zabrała—i aby mnie nie pochowała bez halsztuka“.

Kiedy trupa myto i ekwipowano, sięgnął pasierb zmarłego, wraz z matką swą, Teodorą w głąb rzeczy... zatem przetrząsł kamizelkę i znalazł zegarek złoty z takimże łańcuszkiem—wysunął szufladę szafki nocnej, przewrócił ją na komodzie i oczyścił z naleciałości metalicznych, id est z dukatów, sygnetu, pierścieni—zaczem przejrzał księgi administracyjne i kasę podręczną—a wreszcie zapuścił się w najgłębszą głąb otworem stojącej schedy i wziąwszy pęk kluczy, zstąpił do piwnic.

Raj trunków pokłonił mu się usłużnie. Beczki, beczułki, flaszki koniaków, szampanów, zapowiedziały mu przyszłe dni wesela...

Tak rozpoczęło się używanie.

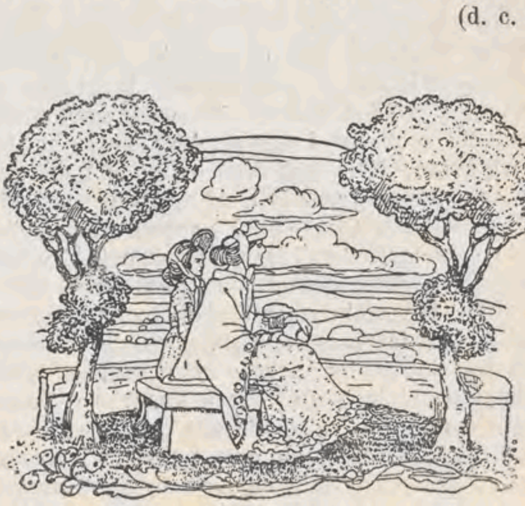
Kadawer Polińskiego nagniwał w zapłaconej trumnie i w zapłaconej jamie—a pasierb Mikołaj, mały szczerbaty ucztował po „numerach“ dobrawszy do pomocy konsumentów spódniczkowych.

Babcia przypijała, modliła się, chodziła porankami po rosie boso, wedle Kneippa, iżby krzepkość zachować w najpóźniejsze lata zbożności i równoległego spożywania puścizny wraz z synem, który, niestety, lazł w bród w progresji geometrycznej. Co piątku, dla dusznych melioracji, słała duszpasterzom ryby, wina i cygara, wieczorami rozmawiała z Bernardynem o „tamtym świecie“, popłakiwała i dysponowała wieczerze.

Edward patrzył na to, widział, wychowywał się i podrastał.

. . . .

(d. c. n.)



OSKAR WILDE.

Duch z Canterville.

Romans hylo-idealistyczny.

(Z angielskiego).

(Dokończenie).

Teraz wyrzekł się nadziei nastraszenia kiedykolwiek tej gruboskórnej rodziny amerykańskiej i zazwyczaj prześlizgiwał się tylko po korytarzach, w pantoflach w grubym czerwonym szaliku na szyi z obawy przeciągów, z małym muszkietem na wypadek napaści ze strony bliźniąt. Lecz ostateczny cios spotkał go dnia 19-go września. Poszedł tego dnia na dół, do wielkiej hali, będąc pewnym, że tu, w każdym razie, zostawią go w spokoju. Zabawiał się, robiąc uwagi satyryczne o dwuch wielkich fotografjach Saroni'ego, przedstawiających posła stanów Zjednoczonych i jego żonę. Zajęły one miejsce portretów rodziny Canterville. Był skromnie, lecz schludnie ubrany w długi całun, poplamiony pleśnią cmentarną, miał szczękę obwiązaną kawałkiem żółtego płótna, w ręku zaś dźwigał rydel grabarski i małą latarkę. Był przebrany za „Janasza bez grobu, czyli — Rabusia trupów z Chertsey Barn“, jedno z najznakomitszych jego wcieleń, które Canterwillo'wie mieli dobrze w pamięci, gdyż było ono istotną przyczyną ich kłótni z sąsiadem, lordem Rutford. Było kwadrans na trzecią w nocy i, o ile mógł stwierdzić nikt się jeszcze nie ruszał. Lecz gdy wlókł się do bibljoteki, by zobaczyć, czy jest tam jeszcze ślad krwawej plamy, z ciemnego kąta wyskoczyły na niego nagle dwie postacie i dziko wymachując rękami nad głową, wrzasnęły mu na ucho: „Buu!“

W strachu panicznym, całkiem naturalnym w takim razie, pobiegł ku schodom, lecz tam czekał na niego Washington Otis z sikawką ogrodową. Będąc otoczonym ze wszystkich stron przez swych wrogów, znikł w wielkim piecu żelaznym, który, na jego szczęście, nie był zapalony i musiał odbyć drogę powrotną przez kominy i rury, tak, że gdy dotarł do swego pokoju, był przeraźliwie brudny, zrozpaczony i miał ubranie w nieładzie.

Po tem zajściu nie widziano go więcej w nocy. Bliźnięta niejednokrotnie wyczekiwały jego ukazania się, i posypywały korytarze co noc łupinami od orzechów ku wielkiemu niezadowoleniu rodziców i służby, lecz wszystko było napróżno. Było oczywistem, że jest tak zraniony w swych uczuciach, że nie chce się zjawiać. Więc Mr. Otis podjął nanowo swe wielkie dzieło o historji Partji Demokratycznej, Mrs. Otis urządziła nadzwyczajne pieczenie ciast, które wprawiło w podziw całe hrabstwo; chłopcy zabrali się do lacrosse, euchre, pocker'a i innych amerykańskich gier narodowych, zaś Wirginia jeździła po alejach na swym kucyku w towarzystwie młodego księcia Cheshire, który przybył dla spędzenia ostatniego tygodnia wakacyjnego w zamku Canterville. Wszyscy przypuszczali, że duch opuścił zamek i Mr. Otis napisał nawet o tem do lorda Canterville, który w odpowiedzi wyraził wielkie zadowolenie z tej nowiny i przesłał uprzejme ukłony szanownej małżonce posła.

Lecz Otis'owie mylili się, gdyż duch był jeszcze w domu i chociaż ciężko chory, nie dawał bynajmniej za wygraną, zwłaszcza gdy usłyszał, że bawi tu książę Cheshire, którego dziadek, lord Francis Stilton, założył się niegdyś o sto gwinei z pułkownikiem Carbury, że zagra w kości z duchem z Canterville. Następnego dnia znaleziono go w pokoju do kart na podłodze, tak ciężko sparaliżowanego, że chociaż dożył sędziwego wieku, nigdy nie mógł powiedzieć nic ponad wyrazy; „Dwie szóstki“. W swoim czasie historja ta była dobrze znana, chociaż naturalnie, przez wzgląd na uczucia obu rodzin, starano się ją zatrzeć, lecz można ją znaleźć ze wszelkimi szczegółami w trzecim tomie Wspomnień o Księciu Regencie i jego przyjaciołach, lorda Tattle. Naturalnie, duchowi chodziło bardzo o pokazanie, że nie stracił swego wpływu nad Stilton'ami, z którymi był w odległem pokrewieństwie, ponieważ jego kuzynka wyszła en secondes noces za Sieur de Bulkeley, od których, jak każdemu wiadomo, pochodzą książęta Cheshire. Wobec tego przygotował się do zjawienia się adoratorowi Wirginii w słynnej postaci „Mnicha — Wampira lub bezkrwistego Benedyktyna“, tak okropnej, że gdy stara lady Startup zobaczyła go w fatalny wieczór noworoczny roku 1764, zaczęła wydawać przeraźliwe okrzyki, dostała gwałtownej apopleksji i umarła w przeciągu trzech dni, wydziedziczając swych najbliższych krewnych, Canterville'ów i zapisując cały majątek swemu aptekarzowi w Londynie. Lecz w ostatniej chwili lęk przed bliźniętami powstrzymał go od opuszczenia pokoju więc mały książę spał spokojnie pod wielkim baldachimem z pióropuszami w królewskiej sypialni i śnił o Wirginii.

V.

Wkrótce potem Wirginia i kędzierzawy jej rycerz pojechali na łąki Brockley, gdzie Wirginia tak rozdarła ubranie, przesadzając płot, że za powrotem poszła tylnemi schodami, by jej nie zobaczono. Gdy biegnąc, mijała pokój Gobelinowy, którego drzwi przypadkiem stały otworem, wydało się jej, że widzi tam kogoś i sądząc, że to jest służąca jej matki, która przychodziła tu czasem z robotą zajrzała tam, by poprosić ją o naprawienie ubrania. Ku niezmiernemu jej zdziwieniu atoli był to duch Canterville'u we własnej osobie! Siedział przy oknie patrząc, jak poblakłe złoto żółknących drzew unosi się w powietrzu a czerwone liście kręcą się w tańcu szalonym wzdłuż alei. Głowę miał opartą na dłoni i cała jego postać wyrażała najwyższe przygnębienie. Wyglądał zaiste tak opuszczony i zaniedbany, że Wirginia, której pierwszym odruchem było uciec i zamknąć się w swym pokoju, poczuła litość i postanowiła go pocieszyć. Kroki

jej były tak lekkie, melancholia zaś jego tak głęboka, że nie zauważył jej obecności, aż przemówiła do niego:

— Żal mi pana, — odezwała się, — lecz jutro bracia moi powracają do Eton i jeżeli pan będzie zachowywał się przyzwoicie, nikt już nie wyrządzi panu przykrości.

— Co za absurd — żądać odemnie przyzwoitego zachowania się, — odparł, spoglądając ze zdumieniem na ładne dziewczę, które odważyło się zwrócić do niego, — zupełny absurd. Muszę brzęczeć łańcuchami, jęczeć przez dziurkę od klucza i błąkać się w nocy, gdyż to jest jedyna moja racja bytu.

— To nie jest żadna racja bytu i pan wie, że był pan złym człowiekiem. Mrs. Umney powiedziała nam pierwszego dnia po przyjeździe, że pan zabił żonę.

— Dajmy na to, że tak było, — rzekł Duch zuchwale, — lecz to jest sprawa czysto rodzinna i nie powinna obchodzić nikogo.

— To bardzo źle — zabijać kogoś, — powiedziała Wirginia, która czasami miewała rozkoszną powagę purytańską, oddziedziczoną po jakimś przodku z Nowej Anglji.

— O, nienawidzę taniej surowości etyki abstrakcyjnej! Żona moja była płaska, nigdy nie krochmaliła mi porządnie mankietów i nie znała się na kuchni. Jakże, zastrzeliłem pewnego razu w lesie Hogley kozła, wspaniałego dwulatka i wie pani, jak podała go do stołu? Mniejsza o to już teraz, bo to wszystko minęło, lecz sądzę, że nie było pięknie ze strony jej braci zagłodzić mię za to, że ją zabiłem.

— Zagłodzić pana? O, panie Duchu, to jest Sir Simonie, pan jest głodny? Mam butersznyt w torebce, chce go pan?

— Nie, dziękuję, teraz już nic nie jadam, lecz to jest bardzo uprzejmie ze strony pani i pani jest znacznie milsza od reszty swej okropnej, brutalnej, ordynarnej, nieuczciwej rodziny.

— Wara! — krzyknęła Wirginia, tupiąc nogą, — to pan jest brutalny, i okropny, i ordynarny, co zaś dotyczy uczciwości, to pan wie, że to pan ukradł farby z mego pudełka, by odnawiać tę śmieszną krwawą plamę w bibliotece. Z początku zabrał pan wszystkie czerwone farby, nie wyłączając szkarłatnej i wtedy nie mogłam już malować zachodów słońca, potem zabrał pan szmaragdowo-zielone i żółte chromowe i nakoniec została mi tylko indygo i biała chińska farba i mogłam malować tylko krajobrazy księżycowe, które działają przygnębiająco i wcale nie są łatwe do malowania. Nigdy nie powiedziałam nic na pana, chociaż mi to sprawiało dużą przykrość i było bardzo śmieszne, bo któż słyszał kiedy o szmaragdowo — zielonej krwi?

— No, tak, — powiedział Duch nieco łagodniej, — lecz co miałem robić? W naszych czasach o prawdziwą krew bardzo trudno i kiedy brat pani zabrał się do maści Paragau, nie widziałem powodu, dla którego nie mógłbym wziąć farb pani. Co do koloru, jest to rzecz gustu: naprzykład, Canterville'owie mają krew błękitną, najbłękitniejszą w Anglji; lecz ja wiem, że wy, Amerykanie, nie dbacie o takie rzeczy.

— Pan nic nie wie o tem i najlepsze, co pan może uczynić, to wyemigrować w celu poprawy duchowej. Ojciec mój z największą przyjemnością, zwróci panu koszta podróży i chociaż za wszelkie spirytualja płaci się duże cło, sądzę, że nie będzie trudności z komorą celną, ponieważ wszyscy urzędnicy są tam demokratami. Dość panu trafić do Nowego Jorku, by mieć zapewnione powodzenie. Znam sporo ludzi, którzy by dali sto tysięcy dolarów za dziadka i jeszcze więcej za rodzinnego ducha.

— Nie sądzę, że spodobałaby mi się Ameryka.

— Prawdopodobnie dlatego, że nie mamy ruin i osobliwości, — powiedziała Wirginia ironicznie.

— Żadnych ruin! żadnych osobliwości! — odparł Duch, — wszak macie waszą marynarkę i wasze obyczaje.

— Dowidzenia, pójdę i poproszę ojca, by przedłużył bliźniętom wakacje o tydzień.

— Proszę nie odchodzić, miss Wirginio, — zawołał duch, — jestem tak samotny i nieszczęśliwy i nie wiem naprawdę, co mam czynić. Chciałbym iść spać, a nie mogę.

— Co za niedorzeczność! Dość panu położyć się do łóżka i zdmuchnąć świecę. Czasem trudno jest nie spać, zwłaszcza w kościele, lecz cóż za trudności mogą być ze spaniem. Wszakże nawet niemowlęta umieją spać, chociaż sprytu nie mają zawiele.

— Nie spałem już od trzystu lat, — smutnie powiedział Duch i błękitne oczy Wirginji szeroko otwarły się ze zdumienia, — od trzystu lat nie spałem, a jestem tak znużony.

Wirginia spoważniała do reszty, a usteczka jej zadrżały, jak dwa płatki róży. Podeszła do niego i uklękłszy obok, patrzyła w jego starą, wyschłą twarz.

— Biedny, biedny Duchu, — powiedziała cicho, — czyż nie ma pan miejsca, gdzie mógłby spać?

— Daleko, między sosnami, — odparł cichym, marzącym głosem, — jest mały ogród. Tam rośnie trawa w zwyż i wgłąb, tam są duże białe gwiazdy kwiecia cykuty, tam przez całą noc śpiewa słowik. Śpiewa przez całą noc, a chłodny, kryształowy księżyc spogląda w dół, a cis rozpościera nad śpiącymi olbrzymie ramiona.

Oczy Wirginji zamgliły się łzami. Ukryła twarz w dłoniach.

— Pan myśli o ogrodzie Śmierci — szepnęła.

— Tak, Śmierci. Śmierć musi być tak piękna. Leżeć w miękkiej brunatnej ziemi z trawami kołyszącemi się nad głową i wsłuchiwać się w milczenie. Nie mieć wczoraj, ani jutra. Zapomnieć o czasie, zapomnieć o życiu, być w spokoju. Pani może mi pomóc. Pani może otworzyć mi drzwi Domu Śmierci, gdyż miłość jest z tobą, a miłość jest silniejsza od śmierci.

Wirginja wzdrygnęła się, przebiegł ją chłód i przez parę minut trwało milczenie.

Wtedy Duch przemówił znowu, a głos jego brzmiał jak westchnienie wiatru:

— Czy czytała pani kiedy starą wróżbę na oknie biblioteki?

— O często, — zawołała młoda dziewczyna, podnosząc oczy, — znam ja dobrze. Jest nakreślona dziwacznemi czarnemi literami, tak że ją trudno odczytać. Jest tam zaledwie sześć wierszy:

Gdy młode dziewczę złotowłose,
Przeleje łez przeczystych rosę,
W grzeszniku wzbudzi pacierz skruchy,
Gdy znów zakwitnie migdał suchy,
Wtedy w starego zamku progi,
Wkroczy odnowa spokój błogi.

Lecz ja nie wiem, co to znaczy.

— To znaczy, — odparł smutnie, — że musisz zapłakać nad mymi grzechami, gdyż ja nie mam wiary. A wtedy, ponieważ byłaś zawsze słodka, dobra i miła, Anioł śmierci ulituje się nademną. Zobaczysz w ciemności okropne widma i głosy istot przeklętych będą ci szeptały do ucha, lecz nie uczynią ci nic złego, gdyż wobec czystości dziecka bezsilnemi są moce piekielne.

Wirginja nie odpowiedziała. Duch załamał ręce w dzikiej rozpaczy, patrząc na jej pochyloną złotą główkę. Nagle Wirginja powstała bardzo blada, z dziwnym błyskiem w oczach.

— Nie boję się, — powiedziała stanowczo— i poproszę Anioła śmierci, by się ulitował nad panem.

Duch zerwał się z miejsca ze słabym okrzykiem radości, wziął jej rękę, nachylił się nad nią ze staroświeckim wdziękiem i pocałował: palce jego były zimne, jak lód, wargi piekące, jak ogień, lecz Wirginja nia wahała się, gdy prowadził ją przez ciemny pokój. Na wyblakłym zielonym gobelinie byli wyhaftowani mali myśliwi. Ci dęli w swe rogi ozdobne i dawali jej rękami znaki powrotu.

— Wróć się, Wirginjo, — wołali, — wróć się! — lecz Duch mocniej ujął jej rękę, więc zamknęła oczy, by ich nie widzieć. Okropne zwierzęta z ogonami jaszczurek i zezowatemi oczami mrugały na nią z gzymsu przy kominku i szeptały: — Strzeż się, Wirginjo, strzeż się! nie ujrzymy cię nigdy więcej! — lecz duch prześlizgnął się koło nich coprędzej i Wirginja nie zważała na ich głosy. Gdy doszli do końca pokoju, duch zatrzymał się i wymówił kilka słów których Wirginja nie zrozumiała. Otworzyła oczy i zobaczyła, że ściana znika przed nią, jak rozwiewająca się mgła i że z niej się wyłania wielka czarna pieczara. Owiał ich przeraźliwie chłodny wiatr i poczuła, jak coś ją targa za suknię. — Prędzej, prędzej, — wołał duch, — bo będzie za późno. W tej chwili ściana zawarła się za nimi i pokój Gobelinowy został pusty.

VI.

W dziesięć minut potem zadzwoniono na herbatę. Gdy Wirginja nie zeszła na dół, mrs. Otis posłała po nią jednego z lokai. Po chwili ten wrócił i powiedział, że nie mógł nigdzie znaleźć miss Wirginji. Ponieważ miała zwyczaj schodzić co wieczór do ogrodu i zbierać kwiaty by nimi ozdobić stół jadalny, mrs. Otis z początku nie była wcale zaalarmowana, lecz gdy wybiła szósta, a Wirginja wciąż się nie ukazywała, zaniepokoiła się poważnie. Posłała chłopców na zwiady, sama zaś wraz z mrs. Otis przetrząsnęła wszystkie pokoje. O pół do siódmej chłopcy powrócili i powiedzieli, że nie znaleźli ani śladu siostry. Wszyscy byli w najwyższym stopniu podnieceni i nie wiedzieli, co począć, gdy nagle mr. Otis przypomiała sobie, że przed kilku dniami pozwolił bandzie cyganów stanąć obozem w parku. Wobec tego udał się w towarzystwie starszego syna i dwuch parobków do Blackfell Hallow, gdzie się znajdowali obecnie. Mały książę Cheshire, który szalał z niepokoju, błagał na wszystko by pozwolono mu iść także, lecz mr. Otis nie zgadzał się na to, w obawie jakiejś utarczki.

Przybywszy na miejsce zobaczył, że cyganie odeszli i widocznie wyruszyli nagle, gdyż ogień jeszcze płonął, a na trawie leżało kilka talerzy. Posłał więc Waschingtona z dwojgiem ludzi, by przetrząsnęli okolicę, sam zaś pobiegł do domu i zadepeszował do wszystkich inspektorów policji w hrabstwie prosząc o szukanie młodej dziewczyny, porwanej przez włóczęgów lub cyganów. Następnie kazał osiodłać konia i namówiwszy żonę i trzech chłopców, by siedli do obiadu, pojechał ze służącym drogą do Ascott. Zaledwie przejechał parę mil, gdy usłyszał za sobą tentent konia pędzącego galopem i obejrzawszy się, spostrzegł małego księcia Cheshire na kucyku, z rozpłomienioną twarzą i bez kapelusza.

— Bardzo mi przykro, mr. Otis, — powiedział ciężko dysząc, — lecz nie mogę jeść obiadu, dopóki niema Wirginji. Niech się pan nie gniewa, lecz gdyby pan pozwolił nam się zaręczyć rok temu, nigdy nie zdarzyłoby się takie nieszczęście. Pan chce mię odesłać z powrotem. Lecz ja nie mogę powrócić! Nie chcę wracać.

Poseł nie mógł się powstrzymać od uśmiechu i był bardzo wzruszony jego przywiązaniem do Wirginji. Pochylając się z konia, poklepał go po ramieniu i rzekł:

— Dobrze, Cecylu, skoro nie chcesz wracać, sądzę, że pozostaje ci tylko jechać ze mną, lecz będę musiał sprawić ci w Ascott kapelusz.

— Ach, do licha z kapeluszem! Chcę Wirginji! — zawołał, śmiejąc się, mały książę, poczem pogalopowali ku stacji kolejowej. Tam mr. Otis wyszukał naczelnika stacji, czy nie widziano na peronie Wirginji, podając jej rysopis, lecz nie dowiedział się niczego. Naczelnik stacji zadepeszował wzdłuż linji kolejowej i zapewnił, że będzie śledził najstaranniej, czy nie ukaże się gdzie Wirginja. Więc kupiwszy księciu kapelusz w sklepie, który właśnie chciano

zamknąć, mr. Otis pojechał do Bexley, wioski oddalonej stąd o jakie cztery mile, gdzie mieli często zatrzymywać się cyganie, ponieważ obok było duże pastwisko. Tu obudzili strażnika, który nie dał im żadnych informacji i przejechawszy całe pastwisko, zawrócili do domu. Przybyli do zamku o jedenastej, śmiertelnie znużeni, z sercem złamanem. Przy bramie znaleźli Waschingtona i bliźnięta, oczekujących z latarniami, ponieważ aleja była bardzo ciemna. I oni nie wykryli żadnych śladów Wirginji. Cyganów przyłapano na łąkach Brockley, lecz nie było jej wśród nich, zaś nagły swój odjazd wytłumaczyli tem, że pomylili się co do daty jarmarku w Charton i wyruszyli spiesznie, bojąc się spóźnić. Byli bardzo zmartwieni, słysząc o zniknięciu Wirginji, ponieważ czuli wdzięczność do mr. Otis za to, że pozwolił im rozłożyć obozowisko w swym parku. Czworo cyganów przyłączyło się do nich, by im pomóc w poszukiwaniach. Wysondowano staw z karpiami i jeszcze raz obejrzano zamek, lecz bez skutku. Najoczywiściej Wirginja, przynajmniej na tę noc, była dla nich stracona. W najwyższem przygnębieniu mr. Otis i chłopcy poszli ku domowi. Za nimi kroczył służący z dwoma końmi i kucykiem. W sali znaleźli gromadkę przestraszonej służby, zaś w bibliotece na otomanie leżała biedna mrs. Otis, prawie nieprzytomna z przerażenia i niepokoju. Stara gospodyni zwilżała jej czoło wodą kolońską. Mr. Otis przedewszystkiem nastał, by zjadła cokolwiek, potem zarządził kolację dla całego towarzystwa. Był to smutny posiłek, bo nikt prawie się nie odzywał i nawet bliźnięta były przejęte i przygnębione, ponieważ lubiły swą siostrę. Po skończonej kolacji mr. Otis, nie zważając na błagania małego księcia, kazał im wszystkim iść spać, mówiąc, że dziś już nic nie można zrobić, lecz nazajutrz zadepeszuje do Scotland Yard po kilku detektywów, by przybywali niezwłocznie. W chwili, gdy przechodzili przez pokój jadalny, na zegarze wieżowym zaczęła bić północ i gdy przebrzmiało ostatnie uderzenie, usłyszeli trzask i nagły, przeraźliwy krzyk. Okropny piorun wstrząsnął całym domem, fala nieziemskiej muzyki przepłynęła w powietrzu, tafla przy głównych schodach oderwała się z hałasem i z otworu wyszła blada Wirginja z małą skrzyneczką w ręku. Wszyscy rzucili się ku niej. Mrs. Otis gorąco przycisnęła ją do siebie, książę obsypywał ją gwałtownymi pocałunkami, zaś bliźnięta wykonały dokoła tej grupy dziki taniec wojenny.

— Na litość boską, gdzieś ty była, dziecko?—zawołał mr. Otis trochę gniewnie, gdyż sądził, że spłatała im jakiegoś figla, — Cecyl i ja objechaliśmy całą okolicę, szukając ciebie, a matka twoja śmiertelnie się przeraziła. Nie powinnaś nikomu robić takich kawałów.

— Nikomu, prócz Ducha, prócz Ducha! — krzyczały bliźnięta, skacząc dokoła.

— Drogie dziecko, dzięki Bogu, żeś się już znalazła, nigdy teraz nie puszczę ciebie od swego boku, — cicho powiedziała mrs. Otis, całując drżące dziewczę i gładząc jej złote, poplątane włosy.

— Ojcze, — spokojnie powiedziała Wirginja,—byłam z Duchem, który już umarł. Musicie pójść i zobaczyć go. Był bardzo zły, lecz naprawdę żałował wszystkich swych czynów i dał mi przed śmiercią tę skrzynkę ze wspaniałemi klejnotami.

Cała rodzina patrzyła na nią w niemem zdziwieniu, lecz Wirginja była zupełnie poważna i spokojna. Odwróciła się i poprowadziła ich przez otwór w futrowaniu wązkim korytarzem tajemnym. Waschington szedł za nią z płonącą świecą, którą wziął ze stołu. Nareszcie doszli do dużych drzwi dębowych, nabijanych rdzawymi gwoździami. Gdy Wirginja dotknęła ich, obróciły się na swych ciężkich zawiasach i znaleźli się w małej, nizkiej, sklepionej celi z oknem zakratowanem. Do ściany był przytwierdzony olbrzymi pierścień żelazny, a do niego był przykuty cienki szkielet, rozciągnięty na kamiennej podłodze i zda się, usiłował pochwycić długimi, bezmięsnymi palcami staroświecki talerz i dzban, umieszczone tak, by nie mógł ich dosięgnąć. Dzban widocznie kiedyś napełniony był wodą, gdyż wewnątrz był pokryty zieloną pleśnią. Na talerzu leżała tylko kupka próchna. Wirginia uklękła obok szkieletu i złożywszy ręce, zaczęła się modlić w milczeniu, podczas gdy reszta towarzystwa patrzyła w zdumieniu na okropną tragedję, której tajemnica odsłoniła im się teraz.

— Patrzcie! — zawołał nagle jeden z bliźniąt, który wyglądał przez okno, by określić, w którem skrzydle zamku znajdowała się cela,— patrzcie! stare, suche, drzewo migdałowe zakwitło. Doskonale widzę kwiaty w świetle księżyca.

— Bóg przebaczył mu, — rzekła poważnie Wirginja, podnosząc się z klęczek i twarz jej opromieniła się cudnym wyrazem.

— Co za anioł z ciebie! — zawołał młody książę, otoczył ramieniem jej szyję i ucałował ją.

VII.

W cztery dni po tych dziwnych wypadkach w zamku Canterville wyruszył pochód pogrzebowy o jedenastej w nocy. Karawan ciągnęło osiem koni, z których każdy miał na głowie chwiejący się strusi pióropusz. Ołowianą trumnę okrywał bogaty całun szkarłatny, ze złotym, wyhaftowanym herbem Canterville'ów. Obok karawanu i powozów szli służący z pochodniami i cały pochód sprawiał nadzwyczajne wrażenie. Główną osobą w orszaku był lord Canterville, który przybył specjalnie z Walii na pogrzeb i siedział w pierwszym powozie obok Wirginji. Za nimi jechał poseł stanów Zjednoczonych z żoną, potem Waschington i trzech chłopców, na ostatku zaś—mrs. Umney. Wszyscy czuli, że ona, którą duch straszył przeszło przez lat pięćdziesiąt, miała prawo wziąć udział w pogrzebie. W rogu cmentarza wykopano głęboki grób pod starym ciosem, zaś wielebny August Dampier uroczyście odmówił modlitwy. Po ukończeniu ceremonii — służący, podług starego obyczaju rodziny Canterville'ów, zagasili pochodnie, a gdy trumnę spuszczono do grobu, Wirginja wystąpiła naprzód i położyła na niej wielki

krzyż, spleciony z białego i blado-różowego kwiecia migdału. W tej chwili księżyc ukazał się z za chmury i zalał swem cichem srebrem mały cmentarz, zaś z dalekiej poręby ozwał się słowik. Wirginja pomyślała o tem, jak duch opisywał Ogród Śmierci, oczy jej napełniły się łzami i nie odzywała się prawie wcale, wracając do domu.

Następnego rana, przed odjazdem lorda Canterville'a do miasta, mr. Otis rozmówił się z nim w kwestji klejnotów, które duch darował Wirginji. Były to rzeczy wspaniałe, zwłaszcza jeden naszyjnik rubinowy w staro-weneckiej oprawie, cudowne dzieło kunsztu wieku szesnastego, tak wielkiej wartości, że mr. Otis miał poważne skrupuły, czy może pozwolić córce przyjąć coś podobnego.

— Milordzie,—powiedział,—wiem, że w tym kraju prawo spadkowe rozciąga się nie tylko na grunta, lecz i na świecidełka. Najoczywiściej klejnoty te są, lub powinny być dziedzicznem mieniem waszej rodziny. Wobec tego muszę prosić pana o zabranie ich ze sobą do Londynu i uważanie ich poprostu za część pańskiej własności, która została zwrócona panu w niezwykłych okolicznościach. Co do mej córki, jest jeszcze dzieckiem i teraz jeszcze, muszę to uznać z zadowoleniem, nie przywiązuje wagi do tych przedmiotów próżniaczego zbytku. Wiem również od mrs. Otis, która jest powagą w rzeczach sztuki, ponieważ spędziła kilka zim w Bostonie — będąc młodą panienką, że klejnoty te mają ogromną wartość pieniężną i gdyby je sprzedać, możnaby otrzymać sporą sumę za nie. Wobec tego, lordzie Canterville, rozumie pan, że nie mogę w żaden sposób pozwolić, by zostały w rękach któregokolwiek z członków mojej rodziny. I zaiste cały ten szych, wszystkie te błyskotki — może są odpowiednie lub konieczne dla godności arystokracji angielskiej, lecz są absolutnie zbyteczne dla tych, którzy wyznają surowe i — jak sądzę, nieśmiertelne zasady prostoty republikańskiej. Muszę jeszcze zaznaczyć, że Wirginia chciałaby bardzo zatrzymać samą skrzynkę na pamiątkę nieszczęśliwego, wykolejonego przodka pańskiego. Ponieważ jest bardzo stara i niewiadomo, czy da się naprawić, sądzę, że może pan spełnić jej prośbę. Co do mnie, wyznaję, że jestem mocno zdziwiony, widząc, że dziecko moje w jakiejkolwiek formie współczuje średniowieczu i tłumaczę to chyba tylko tem, że Wirginja urodziła się na jednem z przedmieść Londynu wkrótce po powrocie mrs. Otis z podróży do Aten.

Lord Canterville wysłuchał nader poważnie przemowy zacnego posła, od czasu do czasu gładząc siwego wąsa, by ukryć mimowolny uśmiech. Gdy mr. Otis skończył, uścisnął mu dłoń serdecznie i powiedział:--Drogi panie, pańska czarująca córeczka oddała ważną przysługę memu nieszczęsnemu przodkowi, sir Simonowi. Ja i moja rodzina jesteśmy jej bardzo wdzięczni za cudowne męstwo i doznane wstrząśnienia. Najoczywiściej klejnoty należą do niej i gdybym nawet był człowiekiem bez serca i odebrał je, stary niegodziwiec w przeciągu dwuch tygodni powstałby z grobu i uczyniłby mi piekło z życia. Co zaś do praw dziedzicznych, to w zakres ich wchodzi tylko to, co zostało wymienione w jakimś testamencie lub innym dokumencie prawnym, dotąd zaś nikt nie wiedział o istnieniu tych klejnotów. Upewniam pana, że mam do nich tyleż pretensji, co lokaj pański, kiedy zaś miss Wirginja wyrośnie, będzie miała ładne rzeczy do noszenia. Prócz tego, zapomina pan, mr. Otis, że nabył pan ducha wraz z resztą ruchomości, a zatem wszystko, co należało do ducha, przeszło na własność pana, bo, pomimo działalności sir Simona, w korytarzu po nocach, z prawnego punktu widzenia jest on uważany za umarłego, pan zaś kupił jego posiadłość.

Mr. Otis był zmartwiony odmową lorda Canterville i prosił go rozważyć raz jeszcze swoją decyzję, lecz dobroduszny par obstawał przy swojem i nakłonił posła, by pozwolił córce zatrzymać dar ducha. Kiedy na wiosnę roku 1890 prezentowano królowej młodą księżnę Cheshire z powodu jej małżeństwa, klejnoty jej wzbudziły zachwyt powszechny. Albowiem Wirginja otrzymała mitrę, która jest nagrodą wszystkich dzielnych dziewcząt amerykańskich i wyszła za swego adoratora, gdy doszedł do pełnoletności.

Byli oboje tak mili i tak się kochali, że wszyscy byli zachwyceni tem małżeństwem, prócz starej margrabiny Dumbleton, która usiłowała złapać księcia dla jednej ze swych siedmiu niezamężnych córek i w tym celu wydała trzy wystawne obiady i, co dziwniejsza, prócz samego mr. Otis. Mr. Otis nadzwyczaj lubił osobiście młodego księcia, lecz teoretycznie nie uznawał tytułów i, mówiąc jego słowami: obawiał się, że wśród denerwujących wpływów arystokracji goniącej za rozrywkami i zbytkiem, zostaną zapomniane prawdziwe zasady prostoty republikańskiej.

Opór jego został pokonany i sądzę, że gdy prowadził pod rękę córkę swą przez środek kościoła w St. George Hannover Square nie było dumniejszego nadeń człowieka, jak Anglja szeroka i długa.

Po upływie miodowego miesiąca, książę i księżna udali się na zamek Canterville i w parę dni po przyjeździe poszli po południu na samotny cmentarz wśród sosen. Z początku były trudności z obmyśleniem napisu na nagrobku sir Simona, lecz w końcu postanowiono wyryć na nim pierwsze litery imienia i nazwiska i wiersz z okna bibljoteki. Księżna przyniosła ze sobą kilka pięknych róż, które złożyła na grobie. Postawszy tam trochę, poszli do ruin starego opactwa. Tam księżna usiadła na zwalonej kolumnie, książę zaś położył się u jej stóp, paląc papierosa i patrzał w piękne jej oczy. Nagle rzucił papierosa, ujął jej dłoń i powiedział:

— Wirginjo, żona nie powinna mieć tajemnic przed mężem.

— Drogi Cecylu, nie mam tajemnic przed tobą.

— Owszem, masz,—odparł z uśmiechem,— nie mówiłaś mi nigdy, co działo się z tobą, gdy znikłaś z duchem.

— Cecylu, nie mówiłam tego nigdy nikomu, — powiedziała Wirginja z powagą.

— Wiem o tem, lecz mnie możesz powiedzieć.

— Proszę, nie pytaj mnie o to, Cecylu, nie mogę tego powiedzieć. Biedny sir Simon. Zawdzięczam mu wiele. Nie śmiej się, Cecylu, tak jest w istocie. Pokazał mi, czem jest życie i co znaczy śmierć i dlaczego miłość jest silniejsza od obu.

Książę powstał i gorąco ucałował swą żonę.

— Możesz mieć swą tajemnicę tak długo, jak ja mam twe serce, — rzekł cicho.

— Miałeś je zawsze Cecylu.

— Lecz dzieciom naszym powiesz kiedyś, wszak prawda?

Wirginja zarumieniła się.



3) HERMAN BANG

Cudowne dziecko.

(OPOWIEŚĆ).

Karolek był mocno śpiący, kiedy go rozbierano.

Ale naraz otworzył oczy i głosem ochrypłym od snu rzekł:

— Papo — a czy my dużo mamy pieniędzy?

— Pieniędzy?..

— Tak.

— I owszem, — mamy dosyć pieniędzy.

— I owszem...

I Karolek usnął.

Karolek ostatniemi czasy często się pytał o pieniądze.

Niekiedy pan Teodor Franz nie mógł im towarzyszyć podczas wyjazdów. Wyjeżdżał naprzód. Wtedy pan de las Foresas grał w karty z Karolkiem w przedziale.

Grano w marki do obliczenia. Pozłacane blaszki przewracały się koło graczy na ławkach. Pan de las Foresas opowiadał wtedy ciekawe historje. Opowiadał o banku, który wygrał w Badenie.

— Wtedy jeszcze grano w bank w Badenie. — Opowiadał o domach gry w Meksyku, — tam bardzo łatwo wygrać, trzeba tylko znać się na rzeczy!

A pan Emmanuelo de las Foresas miał prawo rzec o sobie, że „zna się na rzeczy.“ Oto, gdzie były majątki, oto gdzie płynęło złoto! Tyle złota, że doprawdy warto było o czem mówić...

Karolek słuchał, śledził za kartami i zbierał do kupy pieniądze, porozrzucane na ławie.

A raz w Janeiro — w Rio de Janeiro — pan Emmanuelo de las Foresas opuścił karty, — nad ranem złoto znikło a na stole ukazały się brylanty, — tak brylanty, setkami leżące na zielonem suknie!

Albo w Peru. O, nie! Merci bien za taką knajpę, jak Monaco!

Oto o czem warto było pomówić, gdy się bratku, znałeś na rzeczy...

Pan de las Foresas upewniał, że za młodych lat znał się, coś niecoś na tych sprawach...

Miał wtedy wspaniałe palce, bardzo zręczne palce...

Umiał sztukę ze szpilką, z suknem i cienką jedwabną nitką, co określała kartę pod samym nosem partnera. Pan Emmanuelo de las Foresas stosował tę sztuczkę w Badenie nie jeden raz! Oto spróbuje, czy też ją będzie umiał jeszcze teraz.

— Tak, spróbuj, papo.

Jak się pokazało — pan Emmanuelo de las Foresas umiał jeszcze.

— To talent, — rzekł. — Prawdziwy talent. Talent w palcach.

I jeszcze raz powtórzył ową sztuczkę wobec Karolka, na ławce. Malec naśladował kilkakrotnie.

Pan Emmanuelo de las Foresa przyglądał się. Rozweselił się, pouczał, poprawiał...

— Brawo, mały, brawo! Jeszcze raz.

Karolek przerabiał swój figiel.

— Dobrze, dobrze! Malec ma talent. Sprytnie! Brawo, brawo! Naprawdę masz zręczne palce!

Grali w dalszym ciągu. Teraz Karolek przegrywał. Pożerał oczyma każdą kartę, przytrzymywał tabliczki rękami, drżącemi ze wzruszenia.

Znowu przegrał.

— Ale ty, papo szachrujesz! — zawołał naraz i chwycił go za rękę. Ty masz podwójne karty!

Pana Emmanuelo de las Foresas oburzyło to nie na żarty.

— Już nawet z własnemi dziećmi nie można po szulersku... — oświadczył. Nie chciał już więcej grać.

Ale Karolek też się rozgniewał. Grał sam z urojonymi partnerami, porozkładawszy wszystkie karty na ławce. Blaszki dzwoniły mu w rękach...

Kiedy pan Emmanuelo de las Foresas i Karolek byli sami, to czas im mknął bardzo szybko.

Kiedy byli sam na sam, to zawsze przychodziła któraś z pań i jadła razem z nimi kolację po koncercie.

Karolek bardzo lubił te panie, gdyż one całowały go w uszko lub częstowały papierosa-

mi... Rozbierały go, kiedy mu czas było iść spać i tańczyły z nim w nocnej koszulce. Względem niego były one zawsze bardzo uprzejme.

Karolek piszczał, ponieważ często go łaskotały.

Dostawał od nich co niemiara prezentów. Pan Emmanuelo de las Foresas brał je wszystkie „na przechowanie".

Raz w pociągu Karolek ni stąd ni zowąd zapytał nagle:

— Papo — a gdzie są, właściwie, nasze pieniądze?

— W Paryżu.

— Hm... A czy teraz ich jest dużo?

— O, tak! Ale przecież mama także musi żyć, więc dużo wydaje.

Bywały dni, kiedy pieniądze bezustannie prześladowały chłopca. Poczem znowu na długi czas zapominał o nich zupełnie.

. . . .

Minęło trzy lata.

Pan Teodor Franz zmusił Karolka do nauczenia się czwartego numeru. Był to „Marsz Radeckiego". Karolek wykonywał go na małych skrzypcach. Po raz pierwszy grał go w Peszcie. Był wtedy ubrany w kostjum węgierski, skutkiem czego studenci ponieśli go do domu na rękach...

Panu Teodorowi Franzowi zawsze „dobre idee" przychodziły do głowy. Tak też i teraz. Napisał odezwę siarczystą do studentów z podziękowaniem, w której jednocześnie powiadamiał, że Charlot Dupont grać będzie wkrótce na korzyść ofiar powodzi.

Pan Teodor Franz wraz z panem Emmanuelo de las Foresas wspólnie układali tę odezwę.

— Ale gdzież są ofiary powodzi? — pytał pan de las Foresas.

— Mój panie, — odpowiada na to pan Teodor Franz — na Węgrzech zawsze się znajdą ofiary powodzi...

Pan Teodor Franz umiał układać odezwy do publiczności. To było poniekąd jego specjalnością. Dzięki zaś jednej z takich odezw zyskał sobie nawet wielkie uznanie.

Miało to miejsce z Miss Tisbyrs, kiedy — w odezwie do publiczności — prosił nie klaskać podczas koncertu w kościele, aby nie obrażać subtelnych uczuć miss Tysbyrs... Koncert przyniósł był wtedy dwadzieścia sześć tysięcy czystego dochodu — („a co nas kosztują te kościoły łaskawy panie? — ani grosza, gdyż zawsze je otrzymujemy darmo!") — i całe miasto krzyczało „hurra" przed kościołem...

Pan Teodor Franz pisząc tę odezwę, wymienił, że pan Emmanuelo Dupont, ojciec małego, cudownego skrzypka, z honorem służył Francji i pozostał zawsze wierny Domowi Orleańskiemu oraz swym królom i, że czuje się niezwykle szczęśliwy, iż jego syn ma możność okazania swych sympatji dla kraju, który zawsze przechowywał niezachwianą wiarę w wielkość i przyszłość jego drogiej ojczyzny...

Kreśląc te słowa, pan Emmanuelo de las Foresas miał łzy w oczach.

. . . .

Wszystkie miejsca na „koncert na powodzian" zostały wyprzedane, zanim kasę otwarto.

Koncert zakończył się rzeczą: „Kakadu der Schneider".

Kiedy Karolka wywołano po raz dziewiętnasty, zagrał on ponad program „Marsz Radeckiego."

Nazajutrz rozpoczęło się turnée po całych Węgrzech. Panu Teodorowi Franzowi wycieczka ta przyniosła dwieście tysięcy guldenów.

Karolek wyrósł potężnie. Jego szczupłe, czerwone nogi widać było powyżej króciutkich pończoch. Pan Teodor Franz kazał mu przykryć kolana koronkami.

Wieczorem, gdy jego spojrzenie padało na Karolka, który siedział rozwalony w krześle, ze swym wiecznym papierosem w zębach, pan Teodor Franz miał na twarzy wyraz zaaferowania:

— Łaskawy panie — odezwał się — Charlotowi trzeba naznaczyć obecnie ośm lat. Niepodobna, przecież, by miał lat siedem, kiedy już wkrótce mógłby wstąpić do gwardji.

Karolek miał wtedy jedenasty rok.

Dawano koncerty w Berlinie, po ukończeniu których Karolek miał wyjechać do domu na odpoczynek do Paryża i przebyć tam miesiąc, przed wyjazdem do Ameryki.

. . . .

(d. c. n.)

JAKÓB WASSERMANN.

2)

Usta, które nie zaznały pocałunku.

(Z niemieckiego).

W nizkim, ciepłym pokoju gospody siedzieli stangreci przy piwie. Siebengeist ledwie dotknął potraw. W zamyśleniu dłubał w swych białych zębach, podczas gdy nauczyciel zajadał porządnie.

— Uczoność wzmacnia żołądek, — zauważył sarkastycznie Siebengeist. — Wie pan, co mi przyszło do głowy? Zrobię sobie ze śniegu dziewicę: piękną, czystą i mądrą. Dam jej serce wiernego psa, a oczy owego szlachetnego potwora, który żył w ukryciu. Całość, ożywiona, byłaby szczytem doskonałości.

Filip Unruh pomyślał: jeżeli ten człowiek jest aptekarzem, chorzy dostawać będą niezwykłe mikstury. Jego zamiłowana w porządku dusza poczynała się burzyć. Nieśmiało spoglądał z boku na prowizora i musiał przyznać w duchu, że ma on piękną twarz, inteligentne oko, miękki i marzycielski rysunek ust.

W drodze powrotnej rozmowa kulała jakoś. Spokój natury nakazywał ciszę podróżnym. Sinawy zmierzch kładł się już nad okrytą śniegiem przestrzenią. Drzewa stały, jak czerniejące postacie ludzkie, gałęzie rozpaczliwie sterczały ku niebu. Filip Unruh odczuwał towarzystwo prowizora, jako ciężkie brzemię. Nie mógł rozważać nawet, ani myśleć w jego obecności. Niejasne poczucie winy legło mu ciężarem na sercu.

Kiedy przestąpili plac targowy miasteczka, spotkał ich baron aptekarz i zaprosił do swego domu na popołudniową kawę. „Żona się ucieszy“, powiedział słodko, takim tonem, jakgdyby mówił o jakiejś najdostojniejszej osobie. Siebengeist w roztargnieniu skinął głową i wziął pod ramię nauczyciela, który przyjął zaproszenie z wahaniem i nieśmiało.

Był to stary dom, pełen kątów i zakątków, z szerokiemi, ciemnemi schodami, tajemniczemi drzwiami i trzeszczącymi stopniami, za którymi znajdowała się apteka. Pochodził on jeszcze z czasów margrabstwa i udzielał każdemu ze swych mieszkańców coś ze swego zamkniętego, staromodnego, skrytego i posępnego charakteru. Z głębi sieni nadeszła baronowa i zawezwała do siebie prowizora. Filip Unruh i aptekarz poszli zatem naprzód, a że ściemniało się już, baron poprosił gościa swego żeby poczekał, sam zaś pośpieszył naprzód, aby przynieść światło. Nauczyciel oparł się z westchnieniem na szerokim gotyckim parapecie i przysłuchiwał się gwarowi głosów na schodach, który głuchł chwilami. W tej chwili przeszedł przez korytarz baron z lampą i promień światła rozjaśnił całą klatkę schodową. Filip Unruh ujrzał uściski i pocałunki dwojga ludzi. Kobieta z przymkniętemi oczami zawieszona była na szyi Siebengeista. On jednak miał oczy otwarte i wyglądał jakby patrzał daleko, w dal niezmierną, a wzrok jego był chmurny i stężały. Trwało to w blasku światła sekundę ledwie, ale nauczycielowi zdało się, jakgdyby stał się świadkiem straszliwego przestępstwa. Kiedy postępował za aptekarzem, nogi uginały się pod nim a zęby szczękały silnie. Baron odwrócił się i zaśmiał w swój wielkopański sposób.

— Biedaczysko, — powiedział, — tak mu zimno, że aż szczęka zębami.

I ryknął do kuchni, tak, że wszystkie mury echem oddźwiękły:

— Joanno, gorącej wody na grog!

Poczem zaczął znowu szeptać i szeptał o poezji zimy, podczas gdy druga para, gawędząc niewinnie napozór, weszła do pokoju.

Przyjemne ciepło panowało w wielkim pokoju, którego sufit sklepiony był, jak w kaplicy. Sam piec zdawał się małym domkiem. Baron odczytał swój prolog dla teatru, przyczem Siebengeist spoglądał z przejęciem na swą filiżankę. Najwidoczniej goście zostali zaproszeni specjalnie dla tego wiersza, gdyż baron czytał z wystudjowanem i zarazem naiwnem przejęciem dyletanta, który się bojaźliwie przygotował. Było tam wiele takich obrazów i myśli, które wyjątkowo godne były barona a bardziej jeszcze aptekarza. Pegaz zaprzężony był do tej jazdy i z wielkiej stajni metafor wysypywało się wszystko, co biedz mogło. Czas i wieczność, ojczyzna i wiedza, sztuka i natura; uzbrojone w hałas i wrzawę, wstąpiły na wzniosłe koturny i żeskakiwały ku zadowoleniu współobywateli. Czoło wieszcza pokryte było potem, a jego jasny, delikatny wąsik drgał rytmicznie w takt jego poruszeń.

Kiedyindziej byłaby się ta produkcja ogromnie Filipowi Unruh podobała. Teraz jednak przestrzeń zaciszna zdawała się zapełnioną ciężkiemi misterjami. Zobaczył Siebengeista siedzącego i odważył się wreszcie spojrzeć także na młodą kobietę. Zdziwiony i przestraszony, spuścił natychmiast oczy. Czarne źrenice baronowej skierowane były z wyrazem natchnienia na usta męża, a wargi uśmiechały się z wylaniem. Złość i wstyd zbudziły się w nauczycielu. Oddychał w atmosferze kłamstwa, ale pochwyciło go nieznane mu dotąd uczucie zmysłowej ciekawości. Gdy baron skończył, kobieta podbiegła doń, uszczęśliwiona, objęła go i ucałowała serdecznie. Nauczycielowi stało się duszno. Niebezpieczną, dwoistą i chytrą wydała mu się kobieta. Popatrzał w twarz prowizorowi, który spoglądał w okno z niemądrym uśmiechem.

Naraz na ulicy ktoś głośno i wyraźnie zawołał „ogień!“ a jednocześnie zaczęto bić w dzwon. Siebengeist otworzył okno i zapytał, co się stało. Pali się niedaleko szkoły, odpowiedziano mu. Filip Unruh wyskoczył, myśląc już jedynie o swych książkach.

IV.

Stara spróchniała budowla stała w płomieniu. Zdawała się ona niemożliwą do ocalenia, gdyż stojące obok stare graty domostw, łatwo mógł ogień pochwycić. Dziedziniec ział płomieniami, które lizały dach budynku szkolnego, a gromadka dzieci w przestępnem naprężeniu czekała, aby znienawidzony dom zniknął z powierzchni ziemi. Natomiast ludzie, którym obojętne było, czy wakacje nastąpią, czy też nie, okazywali ogromne wzburzenie, a bijący na trwogę dzwon, który korzystał chętnie z podobnych okazji, aby wywołać hałas chełpliwy, powiększał jeszcze bojaźliwość uczuć. Krótkie jego uderzenia przypominały stukanie strwożonego serca. Przybyła straż ogniowa o śmiałych hełmach mosiężnych i struchlałych twarzach a poczciwi ci ludzie narobili ze swej strony takiego hałasu swojemi trąbami i komendą, gruchoczącymi strumieniami wody i niebotycznemi drabinami, że tumult był większy od niebezpieczeństwa. Zamiast poddać się ogólnej jakiejś ko-

mendzie, każdy starał się odegrać najważniejszą rolę i jako pełen zasług autorytet zajmował się sikawkami, noszeniem wody, lub wdrapywaniem się i rozwalaniem okien.

Filip Unruh wtargnął do kuchni, wziął wielką skrzynię od węgli, zaciągnął ją do swej bibljoteki i ze zdumiewującą szybkością wrzucił do niej swe książki. Był to widok niezwykle tajemniczy, gdy, oświecony purpurowymi płomieniami, z demoniczną biegłością napełniał czarną skrzynię starymi foljałami. Z siłą, której, jako widz, przyglądałby się ze zdumieniem, zawlókł ciężkie pudło na schody i spuścił je z ogromnym hałasem. Na dole dopiero znalazło się dwuch mężczyzn, którzy mu pomogli zanieść jego skarb na ulicę. Skrzynia zatrzymała się między dwiema kupami śniegu. Z lżejszem sercem wstąpił nauczyciel znów do domu, aby w razie potrzeby skryć także inne manatki. Gospodyni z jękiem wybiegła do sieni.

Ponieważ nikt jeszcze nie myślał o niebezpieczeństwie jakiemś, Unruh sam wspiął się na górę, obejrzał się i podziwiał niezwykłą ciszę, przerywaną tylko przez trzask ognia i hałas strumieni wody. Ściany i szafy były krwawoczerwone; szyby w oknach drżały od żaru, ale niebezpieczeństwo zmniejszało się z każdą chwilą. Drewniana galerja płonęła, jak papier, a mur kamienny zrobił się czarny od sadzy. Na dziedzińcu stała straż ogniowa, niby zastęp wzgardzicieli śmierci.

Filip Unruh znów wyszedł na ulicę i zawezwał służącego gminy, aby mu pomógł zanieść skrzynię z powrotem. Skrzynia jednak zniknęła. Przestrzeń między dwiema kupami śniegu była pusta. W miękkim śniegu wyryta była głęboka brózda.

— Gdzież więc książki?—zapytał machinalnie nauczyciel i zdumiony rozejrzał się dokoła.

— Gutmann, gdzie moja skrzynia? — krzyknął do przebiegającego strażaka i twarz jego skurczyła się.

Gutmann zakłopotany, wzruszył ramionami. Sługa gminy próbował pocieszać nauczyciela i w zamyśleniu otworzył fląszkę z wódką. Nauczyciel wzywał jednego przechodnia po drugim, ale nikt o niczem nie wiedział. Zgromadziła się grupa ludzi, którzy dawali rady i wypowiadali każdy swoje zdanie. Stawił się policjant Grünhut i poczynił notatki w swej zasmarowanej książeczce. Nauczyciel narzekał zrazu, skarżył się każdemu, niektórych prosił o pomoc; teraz umilkł zupełnie. Świadomość, że odebrano mu jego najdroższą własność, zaczynała mu ciężyć, jako coś potwornego. Czuł się zranionym przez samo niebo, zranionym i skrzywdzonym w swej najgłębszej istocie. Krzywda, którą cierpiał, zagłuszała jego rozwagę; to, co go spotkało, umykało z pod wszelkiej miary, z pod wszelkiego obliczenia. Leżała w tem zbrodnia jakaś, występna i niesłychana. Kto mógł szkodzić w ten sposób biednemu, spokojnemu, jak on, człowiekowi? Był nauczycielem, niczem więcej i uczciwie spełniał swe obowiązki. Nie miał żadnej przewagi nad innymi. Czy może była to zemsta losu za to, że do czarnego chleba swego stanu dodawał nieco okrasy i słodyczy?

Szeroki i pełen godności przeszedł drogą pan wachmistrz. Uprzejmie przyrzekł on zająć się tą sprawą. „Gracko“ powiedział, „gracko“, swe ulubione słowo, którego najczęściej używał bez powodu. Policjant napił się z butelki służącego gminy i pospieszył, aby w tę noc ciemną ścigać złodzieja.

Posłano obok do piekarza i krawca. Jeden z nich zaczął łajać, że go pozbawiają czci, drugi grał rolę człowieka niewinnego i troskliwego. Zniknięcie skrzyni pozostało ciemną zagadką. Filip Unrnh chodził wciąż jeszcze tu i tam po ulicy i spoglądał w noc, z zaciśniętymi zębami. Ludzie oddalili się zwolna. Była już dziewiąta— zbliżał się czas spoczynku. Na miejscu pożaru pozostało jeszcze dwuch ludzi, uzbrojonych w hełmy mosiężne, którzy rozłożyli się obozem koło rozpalonego z węgli ogniska i wypijali niezliczone dzbany piwa, przynoszone z gospody „Pod wesołą świstawką“.

Doktór Maspero był ostatnim, który odszedł od nieutulonego w żalu nauczyciela. Badawczo spoglądał nań i rzekł złośliwie:

— Zupełnie, jakby pan stracił żyjącą rodzinę. Pfe, Unruh, jak można tak się wystawiać na głupca.

— Doktorze kochany, — odparł nauczyciel niechętnie i nie podnosząc głosu, — kiedy ktoś co traci, wtedy sam wie najlepiej, co traci.

Doktór mruknął coś, podniósł brwi, zaśmiał się w duchu i życzył dobrej nocy.

(c. d. n.)

WARUNKI PRENUMERATY „ZŁOTEGO ROGU“:

W Warszawie	rocznie rb. 6.— półr. rb. 3.— kwart. rb. 1.50
W Królestwie i Cesarstwie z przes. poczt.	„ „ 7.— „ „ 3.50 „ „ 1.75
Za granicą i za oceanem „ „	„ „10.— „ „ 5.— „ „ 2.50

Za odnoszenie do domu 15 kop. kwartalnie. Numer pojed. kop. 15. Zmiana adresu — 20 k.

CENA OGŁOSZEŃ: Na 1 str. okładki 60 kop. Na 2 str. okładki, przed tekstem 40 kop. Nadesłane, w tekście—75 k. Reklamy—40 k. Ogłoszenia na 3 str. okładki 20 k. Na 4 str. okładki—30 k. Ogłoszenia obliczają się na petit.

Wydaw. „Warszawska Spółka Nakładowa“. Redaktorka odpowiedzialna Izabela Arturowa Gliszczyńska.
Kierownik literacki Wacław Grubiński.

Redakcja i Administracja: Warszawa, Królewska 27. Telefon 152-05.

Druk L. Bilińskiego i W. Maślankiewicza, Nowogrodzka 17.